Rok VI. Luty 1900 r. Nr. 2.

PRZEGLĄD WSZECHPOLSKI

miesięcznik polityczny i społeczny

pod kierownictwem J. L. Popławskiego

Redakcya i Administracya: **Lwów, ul. Koralnicka, 6.**

Z POWODU ODEZWY LIGI NARODOWEJ.

Dotychczas w pismach zachowawczo-ugodowych, stańczykowskich, jak się pospolicie mówi w Galicyi, zjawiają się wciąż jeszcze artykuły z powodu odezwy Ligi Narodowej. Przeciwnicy polityki demokratyczno-narodowej stwierdzają wystąpieniami temi i tonem ich namiętnym doniosłość faktu, który z początku próbowali zlekceważyć. W obozie krakowskim wytoczono nawet ciężkie działa. Sam pan hrabia Stanisław Tarnowski wycelował trzy pociski — w *Przegląd wszechpolski*, w odezwę Ligi i w Skarb Narodowy, ale wszystkie trzy, źle wymierzone, spudłowały. P. Tarnowski łaskawie zachęca do ujawnienia nazwisk kierowników: „Kto wie, gdyby ludzie wiedzieli, (tak pisze „znakomity stylista)“ kto są ci panowie, może nabraliby zaufania do ich rozumu, charakteru i działania“. Prowokacyi p. Tarnowski nie przypuszcza, chociaż „wolałby żeby to było“, nie lubi jednak bezimienności, dla tego zapewne, że w przyzwoitem towarzystwie ludzie powinni przedstawiać się sobie wzajemnie. Ale polityka, zwłaszcza demokratyczna, nie może się liczyć z wymaganiami dobrego towarzystwa, tymbardziej gdy nawet w najlepszem, stańczykowskiem, znajdują się dziś denuncyanci, którzy się zawodu swego nie wstydzą.

Gdyby konferencya z p. Tarnowskim lub inną „powagą“ stańczykowską mogła mieć jakiś cel pozytywny, nie wątpimy, że Liga Narodowa nie uchyliłaby się od niej i znalazłaby dziś odpowiednich przedstawicieli, jak znalazła ich dawniej do porozumiewania się z osobistościami, zajmującemi w Galicyi wybitniejsze, niż hrabia profesor, stanowiska polityczne, a może i towarzyskie.

P. Tarnowski gdyby chciał, mógłby mieć o tem pewne wiadomości. Ale dla tego historyka literatury zarówno w specyalności jego, jak w polityce, dokładność informacyj jest zbyteczną. Albo może nie dopisuje mu już pamięć starcza, bo oto np. twierdzi, że „jak się zbiera składki na Skarb narodowy, to już najprostszy wzgląd na siebie samych i swoje stanowisko, nakazuje ogłaszać rachunki z powziętych

cudzych pieniędzy i rachunki te także podpisami opatrywać. Znowu kto wie: może dałby kto na Skarb Narodowy, gdyby wiedział, komu i na co. Ale tak? Bez tej wiadomości, któż może ufać, jeżeli ma trochę zastanowienia w głowie?“

Bardzo słusznie, ale właśnie Skarb Narodowy corocznie ogłasza podpisane nazwiskami szczegółowe sprawozdania. A z Krakowa niedaleko przecie do Prokocimia, gdzie mieszka p. Jerzmanowski, jeden z 5 członków Komisyi nadzorczej Skarbu. Zresztą Skarb Narodowy obejdzie się bez składek p. Tarnowskiego, zastąpią go inni, którzy wiedzą na co i komu dają.

I Liga Narodowa, o ile wiemy, nie uprawia prozelityzmu politycznego, nie narzuca gwałtem swego programu, wzywa tylko w odezwie „tych wszystkich, którzy chcą i powinni iść z nią — do wspólnej pracy i do walki pod jednym sztandarem“.

Zatrzymaliśmy się za długo może nad elukubracyą *Przeglądu polskiego*, ale z zawartymi w niej i powtarzanymi w innych pismach zarzutami należy stanowczo się rozprawić, zwłaszcza z zarzutem bezimienności, Jest to zarzut i nieuczciwy i niedorzeczny. Przedewszystkiem ci właśnie, którzy go wygłaszają, wiedzą zwykle, z kim mają do czynienia. Powtóre w zaborze rosyjskim wszelka działalność, polityczna, o ile nie polega jedynie na wynurzeniach lojalnych, musi być bezimienną i nielegalną. Zachowawcy i ugodowcy szeroko z rzekomego dobrodziejstwa bezimienności wespół z innymi korzystają. Teraz oto świeżo oburzali się na *Przegląd wszechpolski* za wymienienie nazwisk inicyatorów adresu wierno-poddańczego do cara w sprawie języka polskiego. Jeżeli działalność, za którą nagrodą bywają zwykle tytuły dworskie i ordery, musi być w pewnych warunkach ukrytą i bezimienną, to tymbardziej taka działalność, której ujawnienie pociąga za sobą długoletnie wygnanie i więzienie.

Z tą bezimiennością pisma ugodowe same zresztą poradziły sobie, związawszy sprawę odezwy Ligi Narodowej z *Przeglądem wszechpolskim*. *Czas* zapewnia, że „w redakcyi *Przeglądu wszechpolskiego* uznano, iż nadeszła chwila ujawnienia organizacyi czyli zamanifestowania się“, inne pisma mniej wyraźnie, ale to samo mówią. Niestety, nie możemy przyjąć tej pochlebnej dla nas insynuacyi. Pismo nasze jest organem stronnictwa demokratyczno-narodowego, ale nie rości sobie pretensyi do kierowniczej w niem roli.

Znalazłszy kozła ofiarnego, urządzono na niego systematyczną nagankę za pomocą insynuacyi i oszczerstw. Brały w niej udział wytresowane sfory *Czasu*, *Przeglądu* i *Gazety narodowej*, a na ochotnika, dorywczo ujadały zwykłe kundle z *Głosu narodu* i *Ruchu*

katolickiego. Niekiedy warknął nawet i mops liberalny na znak, że i on porządku pilnuje. Próby zdemaskowania bezimiennego spisku były śmiesznie naiwne. *Dziennik poznański* uroczyście zapowiedział, że jeżeli kierownicy Ligi w ciągu tygodnia nie wymienią swych nazwisk, ogłosi ich za prowokatorów. Sojusznicy jego galicyjscy zapewniali znowu, że konspiratorowie mogą nazwiska swe ujawnić, bo nie grozi im tu przecie żadne niebezpieczeństwo, albo ironizowali na temat spiskowania w „bezpiecznem ukryciu“ myśląc, że w ten sposób, podrażniwszy miłość własną wyciągną pożądane wiadomości. O tem „bezpiecznem ukryciu“ dużo możnaby powiedzieć, wystarczy jednak zaznaczenie, że prokuratorya austryacka skonfiskowała w pismach część odezwy Ligi, a prokuratorya pruska za przedrukowanie tej odezwy wytoczyła proces karny *Gazecie kościańskiej.* Wątpimy, czy władze pruskie i austryackie byłyby względnejsze dla osób, niż dla pism.

Wydostanie za wszelką cenę, chociażby za pomocą oszczerstw i denuncyacyi, wiadomości, dotyczących osób, było potrzebnem pismem ugodowym dla wykazania prawdziwości *a priori* uznanego faktu, że kierownictwo Ligi znajduje się w Galicyi, lub, co byłoby dla nich najbardziej pożądanem, na wychodztwie. Nie przypuszczali ci panowie, którzy się o nazwiska dopominali, że prawdziwi kierownicy Ligi je wymienią, myśleli jednak, że wskażą jakiegoś swego przedstawiciela jawnego, jakiegoś „męża zaufania“ zagranicą lub nawet tu w kraju. To dałoby sposobność albo do skompromitowania stronnictw opozycyjnych w kraju, lękających się, jak wiadomo, wszelkiej nielegalności, wszelkiego posądzenia o dążności wszechpolskie, albo do przedstawienia społeczeństwu całej sprawy, jako roboty, „starych warchołów emigracyjnych“ i młodych anarchistów, socyalistów i t. d.

Sztuka się nie udała, pomimo to pisma zachowawczo - ugodowe usiłują wmówić w społeczeństwo, że kierownictwo Ligi Narodowej znajduje się za granicą lub w Galicyi. Potrzebują tego do wybrnięcia z kłopotliwego położenia, w jakiem się znaleźli wobec „konspiracyi“, tak daleko odbiegającej od szablonu, którym „rozumni politycy“ straszyli dotychczas z powodzeniem opinię publiczną.

Gdyby to byli warcholi rewolucyjni, występujący z lekkomyślnymi lub przynajmniej przedwczesnymi planami. „Lecz w robotach konspiracyjnych — biada w *Czasie* p. L. D. (ębicki) — pod jakimkolwiek one zawiązują się wpływem, nie chodzi na dziś przynajmniej o jakieś bezpośrednie zamiary wybuchów rewolucyjnych. Tak szalonymi nie są najszaleńsi — a mamy do czynienia z ludźmi chłodnymi,

którzy w *Przeglądzie wszechpolskim* lub w innych pokrewnych pismach rezonują na zimno o potrzebie organizacyi tajnej w przeciwieństwie do stronnictw jawnych, politycznych i o tajnym rządzie narodowym, który ma zwalczać trzy zaborcze rządy".

W dodatku taktyka tych „chłodnych" konspiratorów odbiega od dawnego szablonu, który stańczycy za typowy uważali i przedstawiali. „Do niedawna konspiratorzy z rzemiosła zwykli wypierać się w oczy swego tajnego działania. — Dziś nastąpiła pod tym względem zmiana Już nie w tajnych odezwach, ale w całym szeregu gazet i pism galicyjskich doktryna konspiratorstwa znajduje jawną obronę i z całym cynizmem rozprawia się tutaj o konieczności narzucenia sieci organizacyjnej całemu narodowi, wskrzeszenia tajnego rządu, bodaj dyktatury".

A ten tajny rząd, ta dyktatura — to przecie tylko „organizacya sił narodowych", którą jakoś trudno zwalczać stańczykom, dowodzącym nieraz jej konieczności, wykazującym, że anarchia t. j. brak organizacyi — zgubiła i gubi Polskę. Autor artykułu „Niepoprawni", zamieszczonego w trzech numerach *Czasu*, streściwszy, co *Przegląd wszechpolski* o potrzebie organizacyi sił narodowych mówi, nie znajduje w arsenale swym żadnego argumentu rzeczowego przeciw tej doktrynie i z trudnego położenia ratuje się lichymi wykrętami, twierdząc, że gdy mówimy o potrzebie wytworzenia swoich własnych zarządów i systemów oświaty narodowej, skarbowości i t. d. mamy na myśli „kadry i wysokie urzędy tajnych rządów narodowych".

Potrzeby organizacyi sił narodowej nie może *Czas* zaprzeczyć w zasadzie, więc zapewnia, że u nas: „Organizacya sił narodowych na ustach — a rozkład tego wszystkiego, co te siły narodowe stanowi w czynie. W umiarkowanem na pozór rezonowaniu powtarza się stale, że program nowej konspiracyi, Ligą narodową nazwanej, dąży do wytworzenia stronnictwa demokratycznego i jest tego stronnictwa emanacyą".

Ale „nie jest to demokracya w duchu 3-go maja, lub Kościuszki, ani ta, która dziś domaga się reform ustawodawczych na Sejmie, a pracy społecznej dla zagojenia ran, waśni i zaradzenia nędzy w kraju. Jest to demokracya pełna jadu i nienawiści — płynie z „Prawd żywotnych" — przechodzi spuścizną z centralizacyi wersalskiej do klubów Mierosławskiego"... i t. d.

Czas jednak czuje, że ani podanie tej w znacznej mierze fikcyjnej genealogii, ani wskazanie podejrzanej parenteli („trochę dalej zaczyna się praca socyalistyczna, ale granica często znika i zaciera się") nie przestraszy należycie opinii publicznej, która o „centrali-

zacyi wersalskiej“ i Mierosławskim już zupełnie zapomiała i nie obałamuci ludzi bezstronnych, którzy ani w programio stronnictwa demokratyczno-narodowego, ani w jego działalności nie dojrzą „jadu i nienawiści“, przeciwnie, znajdą stanowczo wygłoszoną i konsekwentnie stosowaną zasadę, że „rozżarzanie nienawiści i zaostrzanie przeciwieństw klasowych nie mają żadnej wartości dla postępu i usamodzielnienia warstw pracujących“ (*Program stronnictwa demokratyczno-narodowego w zaborze rosyjskim*, Lwów, 1897 str. 25 i 26).

Biedny p. L. D.., którego rozsądniejsi redaktorowie *Czasu* wypuszczają w tych wypadkach, kiedy sami nie chcą się wygłaszaniem zbyt jawnych niedorzeczności kompromitować, wpada na pomysł, że ostatecznie jest to „konspiracya dla konspiracyi, dla odzyskania przewagi i wpływu i“ — tu zaczyna się prawdziwa humorystyka — „dla innych jeszcze celów kosmopolitycznej natury“...

„Tak jest, sekta międzynarodowa, ta sekta, która nietylko toczy zaciętą i odwieczną walkę z kościołem i podkopuje ustrój społeczny — ta sekta zaprzysięgła zgubę narodom katolickim, które nie wyparły się wiary i historyą przekazanej spuścizny duchowej. — Z nią tu także mamy do czynienia. Przybiera ona różne nazwy i wydaje różne odrośla, ale z niej, jak z korzenia, wyrasta całe drzewo tajnych związków“.

Jaka sekta? Masonerya, czy co u licha? W każdym razie jakaś „intryga“ antykatolicka i kosmopolityczna, kierująca działalnością stronnictwa, które uważa za „jedno z głównych swych zadań energiczną obronę praw i interesów wyznania i kościoła katolickiego tam, gdzie są one zagrożone“ (*Progr. stron. dem. nar.* str. 21) i które niejednokrotnie potępiało zarówno ugodę z rządami zaborczymi, jak i kompromisy z rosyjskiemi lub niemieckiemi stronnictwami opozycyjnemi. Z przeciwnikami, wygłaszającymi podobne zarzuty, nie można przecie poważnie rozprawiać.

Inne pisma nie zdobyły się na taką nawet argumentacyę; potępiają one ogólnikowo ale nieodwołalnie tajne związki i obawiają się, że odezwa Ligi Narodowej zaszkodzi bardzo „braciom w zaborze rosyjskim“. Doprawdy takim politykom, którzy przypuszczali, że nawet awantura na koncercie Nadiny Sławiańskiej może mieć wpływ na politykę rządu rosyjskiego w Królestwie, odpowiadać wcale nie warto.

Wogóle prasa galicyjska, zarówno ta jej część, która na odezwę Ligi Narodowej napadała, jak i ta, która o niej dyplomatycznie milczała, wykazała w tej sprawie brak zmysłu politycznego i znajomości stosunków ogólno-polskich. Ludzi, którzy się w tych stosunkach jako tako oryentują, można policzyć na palcach jednej ręki po-

między dziennikarzami i politykami zawodowymi. Inni politycy po za granicami swej prowincyi o niczem nie wiedzą, a nawet jeżeli się przypadkowo o różnych objawach życia narodowego dowiadują, to ich nie rozumieją. Polityka narodowa jest dla nich kombinacyą pewnej liczby frazesów, stale w odpowiednich chwilach, co najwyżej z lekkiemi modyfikacyami, powtarzanych. Odezwa Ligi nie nadawała się do wygłoszenia jeszcze raz nadetatowo tych frazesów. Pisma, sympatyzujące z działalnością Ligi w zaborze rosyjskim, chciały by może wyrazić swoją sympatyę, ale nie wiedzą dobrze jak to zrobić, lub obawiają się skarcenia za warcholstwo. Tu przecie nawet bardzo radykalni politycy, skoro tylko mandat poselski zdobędą, starają się pokazać *Regierungsfähig*, a nie jeden z nich w nieograniczonej zarozumiałości myśli, że wkrótce może w tej austryackiej panoramie nadejdzie na niego kolej i on również „stać“ będzie, jeżeli nie u steru państwa, to przymajmiej w przedpokoju prezesa ministrów w oczekiwaniu na poufną konferencyę.

Wreszcie, jak już poprzednio zaznaczyliśmy, niemal wszyscy politycy galicyjscy, nawet ludzie wręcz odmiennych lub przeciwnych przekonań, są stańczykami z ducha i uczuć. W sprawach krajowych ośmielają się walczyć z nimi, ale w sprawach wyższej, narodowej polityki uznają zazwyczaj ich powagę, której wskutek swej ignorancyi nie mogą niczego przeciwstawić.

Prasa i opinia publiczna w zaborze pruskim, właściwie w Poznańskiem, inaczej odezwę Ligi Narodowej przyjęły. Publicyści poznańscy również nie znają dokładnie stosunków w innych dzielnicach, nie mają dostatecznych informacyj, ale daleko lepiej oryentują się w sprawach ogólno-polskich. Mają oni więcej i lepszej rutyny politycznej, i więcej tradycyi narodowej, i więcej czystej, szczerej krwi polskiej w żyłach. A, co najważniejsza, warunki polityczne, w jakich żyją Polacy w zaborze pruskim, są z wielu względów podobne do warunków w zaborze rosyjskim.

Ma się rozumieć, *Kuryer poznański i Dziennik* odezwę Ligi Narodowej potępiły, pierwszy obszedł się z nią stosunkowo przyzwoicie, drugi ośmieszył się naiwnością swego wystąpienia. Ale nawet *Dziennik poznański*, który pisze nieraz krzyczące niedorzeczności o sprawach zaboru rosyjskiego, stara się jednak o korespondentów i informacye szczegółowe, specyalny jego wysłaniec urządza nawet konferencye z „nieprzejednanymi“.

Goniec z początku poszedł widocznie za wskazaniami *Dziennika* i *Czasu*, ale zaraz w numerze następnym zmienił zdanie, wyznając lojalnie, że się „zadaleko zapędził w przypuszczeniach“. Rozszerza-

nie organizacyi na zabór pruski uważa za niewłaściwe, ale dodaje, — wprawdzie warunkowo, — że „taka organizacya cicha i tajna jest niejako naturalnym wynikiem położenia narodowości naszej w zaborze rosyjskim, jest *jedynym właściwym sposobem* ochrony społeczeństwa od zaniku narodowych uczuć".

Wkrótce potem zamieścił *Goniec* list „jednego z najdawniejszych przyjaciół pisma", ważny choćby z tego względu, że zbija i ośmiesza zarzut prowokacyi, który w Poznańskiem, zwłaszcza w kołach zwolenników *Gońca* mógł łatwiej niż gdzieindziej znaleźć wiarę. Bo wiadomo, że w Poznańskiem niegdyś dyrektor policyi Bärensprung urządzał fikcyjny spisek, a wykrył tę robotę Władysław Niegolewski, który dla *Gońca* i dziś jest wzorem obywatela i polityka polskiego.

Autor listu tak pisze o odezwie: „Jako zachęta do pracy narodowej, do organizowania się moralnego, do wytworzenia dzielności indywidualnej jest ona wszelkiego uznania, a nawet i pochwały godna. Dążenia do tego, aby w danej chwili wypadków przyszłości — nawet wcale nie powstania zbrojnego — czuć się jednymi i silnymi umysłowo dążenia takiego żaden z trzech rządów potępić i karać nie odważy się, a żaden Polak tego dążenia się nie wyprze. Więc nie widzę, dla czego podług mnie rzeczywiście przecież wśród polskich organizacyi istniejąca „Liga Narodowa" byłaby czemś potępienia godnem, żeby była czemś, czegoby się niby dżumy azyatyckiej bać należało. Jeżeliśmy przed pół wiekiem tutaj w zaborze pruskim stworzyli „Ligę Polską", na braterstwie wszystkich stanów opartą, jeżeli na czele tej Ligi — ciała bądź co bądź wybitnie narodowego — stanęli tacy ksiądz arcybiskup Leon Przyłuski, hr. Tytus Działyński, ksiądz Aleksy Prusinowski, jeżeliśmy w rzeczach narodowych za tej samej konstytucyi pruskiej jawnie tu tworzyli jedno, to i dzisiaj tego wypierać się nie potrzebujemy, bo dziś wolność działania wszelkiego tem większą".

Ma się rozumieć, *Goniec* dowodzi, że praca polityczna w zaborze pruskim może i powinna być jawną „bylebyśmy tylko znaleźli odwagę. Co innego jednak spiski polityczne, a co innego łączność w dążeniu do wspólnego celu, którym to ideałem największe dobro Polski, nie kawałka, tylko Polski całej.

„Nie trzeba się tedy obawiać że nam ktoś o tej pracy narodowej myśl nastręcza. Minęły już te czasy, gdzie to na mocy otrzymanego zkądinąd kawałka zadrukowanego papieru do kozy pakowano, ludziom śledztwo wytaczano.

„Drugiego Baerensprunga już też nie stanie, bo duch Niegolewskiego i odwagi i rozumu przeszedł już w krew i kości nasze; nas już nawet tacy hakatyści zagorzali na żaden kawał nie dostaną!

„Wszelako jedna rzecz zgubićby nas mogła, a osłabia już niewątpliwie, to jest własne nasze tchórzostwo.

„Takiem mianem napiętnować sobie pozwalam to, co do jednej z gazet poznańskich napisał na zeszłą niedzielę ktoś z miasta — ten ktoś troskliwy o to, by tu przypadkiem nie urządzono sprzysiężeń na całość państwa pruskiego.

„Święta naiwność, która te zajęcze słowa dyktowała, była tak naiwną, że się nie spostrzegła, jak głęboko, jak bezdennie głęboko zasypała się w tej denuncyatorsko-inkwizytorskiej wycieczce“

Drwi sobie autor listu z *bezimiennego* korespondenta, który wzywa innych do wyjawienia nazwisk i tak kończy:

„Zajęczych skórek bliźni mojżeszowego wyznania po Poznaniu teraz dość dużo obnoszą, może ich widok zatem tak podziałał na poznańskich lojalistów, Niech je skupią, wyprawić sobie każą i podbiją sobie niemi urzędowe fraki, lub też własne stopy, żeby się tak sromotnie nie potykali!

„Świat tylko do odważnych należy — perekińczyków i fagasów nam nie potrzeba!

Orędownik najpoważniej i najgruntowniej zajął się sprawą odezwy. Kierownik tego pisma, jeden z najwybitniejszych publicystów polskich, odrazu zrozumiał znaczenie faktu ujawnienia organizacyi i kilkakrotnie z naciskiem zaznaczył na zasadzie własnych informacyj i zapewnień *Przeglądu wszechpolskiego*, na których „zupełnie można polegać“, że jest to robota kół poważnych. Streściwszy odezwę, *Orędownik* solidaryzuje się w znacznej mierze z artykułem *Nowej Reformy*, o którym poprzednio wspomnieliśmy.

„Krakowska *Reforma* nie pochwala wprost tej tajnej roboty, ale tłómaczy ją. Przy ucisku ze strony rządu rosyjskiego, przy braku nawet pewnych, legalnych środków obrony, Polakom, broniącym swej odrębności narodowej, nie pozostaje nic innego, jak tylko tajna praca. Ta praca naraża wprawdzie społeczeństwo na ofiary, więzienia i prześladowania, ale, podług *Reformy*, trzeba się z tem pogodzić, jako z nieuniknionem następstwem tajnej pracy narodowej. O ile jesteśmy poinformowani o stosunkach w Królestwie, to tam zapatrują się na to tak samo, jak *Reforma*, albo raczej odwrotnie się ma rzecz. *Reforma* tłómaczy to tak, jak to uzasadniają w Królestwie zwolennicy tajnej pracy narodowej.

„Możnaby się na to zgodzić już z samego stanowiska psychologicznego. Ale wtedy — uznając cichą, tajną pracę narodową za nieuniknioną — trzeba zachować potrzebny zmysł i przezorność polityczną.“

Otóż tego zmysłu politycznego i przezorności nie widzi *Orędownik* w ustępie odezwy, mówiącym o „jednej wolnej i niepodległej Polsce“. „Ta jedna, wolna, niepodległa Polska — może spoczywać w sercu każdego Polaka, może wybić się na wierzch w politycznie stosownej chwili. Ale stawiać tę jedną, wolną, niepodległą Polskę jako aktualne zadanie całego narodu polskiego w obecnej chwili, to jest — z stanowiska praktycznej polityki, strasznym błędem politycznym, tj. praktycznym nonsensem“.

W drugim artykule z powodu odezwy *Orędownik* pisze, że „można by się w zasadzie zgodzić na objaśnienie“, dane *w Przeglądzie wszechpolskim*. Ale, zdaniem jego, „odezwa warszawska, podnosząca wyraźnie, bez wszelkich zastrzeżeń, kwestyę „jednej, wolnej, niepodległej Polski“, przemawia nietylko za Warszawę i Królestwo, ale i za Galicyę i zabór pruski, bez odwołania się do dzielnicy austryackiej i pruskiej, a więc z faktycznem lekceważeniem obu tych dzielnic“.

„To był fatalny błąd polityczny w odezwie nietylko ze względu na mocarstwa, do których jesteśmy politycznie przydzieleni i pod których rządami — chcemy, czy nie chcemy — musimy prowadzić ową „pracę wewnętrzną“, ale co gorsza błąd wobec idei narodowej, idei Polski. Jeżeli chodzi na prawdę o tę całą Polskę, o cały naród, to nie może Warszawa jedna za siebie i cały naród przemawiać. Nie może, bo nie jest w stanie dać gwarancyi, że będzie odpowiadała za cały naród przy następstwach tej lub innej odezwy.

„Otóż ten fatalny błąd stwierdza, że choć idea wewnętrznej pracy nad rozwojem bytu narodowego jest rozpowszechniona we wszystkich trzech zaborach, to jednak my się — przy tej wewnętrznej pracy — nie znamy i nie rozumiemy, jak być powinno. Trzebaby zatem najprzód się poznać i porozumieć, a nie robić samowolnie skoku od razu — do jednej, wolnej i niepodległej Polski“.

Ponieważ *Orędownik* zwraca się wprost do *Przeglądu wszechpolskiego*, jako do pisma mającego „znaczny wpływ w Królestwie“ i „czytywanego w zaborze pruskim w kołach, które się od tradycyjnych poglądów politycznych wyzwoliły“ — z żądaniem wyjaśnienia tego punktu, czujemy się w obowiązku zdanie nasze wypowiedzieć, nadmieniając, że poświęcimy tej sprawie obszerny artykuł.

Zgadzamy się w zasadzie z *Orędownikiem* i zaznaczyliśmy nieraz, że hasłem „niepodległej Polski“ nie należy lekkomyślnie potrząsać, że powinno ono spoczywać w sercu każdego Polaka a „może wybić się na wierzch dopiero w politycznie stosownej chwili“. Ale pamiętać należy, że myśl o niepodległej Polsce od lat trzydziestu

starano się systematycznie i nie bez skutku wyplenić z głów i serc polskich, przedstawiano ją jako niedorzeczność polityczną. Otóż temu, w zaborze rosyjskim zwłaszcza, gdzie niema nawet względnej swobody słowa, należy przeciwdziałać. Potrzeba tego przeciwdziałania, więcej ważyć musi, niż wzgląd na mocarstwa, „do których jesteśmy politycznie przydzieleni“, tymbardziej, że sfery rządzące w tych mocarstwach doskonale rozumieją konieczność naszego dążenia do jedności i niepodległości narodowej. Drugi zarzut, że Warszawa nie może „za cały naród przemawiać“, w ogóle słuszny, w danym wypadku nie wydaje się nam jednak uzasadnionym. Odezwa stwierdza, że działalność Ligi ma charakter ogólno-polski, ale nie mówi wcale, że organizacya wszystkie ziemie polskie obejmuje. Więc Warszawa przemawia przedewszystkiem za siebie, zaznaczając na razie to tylko, że polityka narodowa ogólno-polską być powinna.

Artykuł, zamieszczony w *Orędowniku*, a pochodzący z „bardzo poważnego źródła“, zaznacza, „że odezwa nie jest wystosowana do ludności polskiej w zaborze pruskim i austryackim, to jest rzeczą jasną“. Autor tego artykułu zgadza się z redakcyą, że ustęp o „niepodległej Polsce“ był niewłaściwy w odezwie, dodaje jednak, że „na główną jej myśl tj. na konieczność ciągłej, energicznej — chociażby nawet tajnej pracy nad oświatą i narodowem uświadomieniem ludu naszego — pewnie się wszyscy patryoci godzą. Większa część przeciwników widzi pewnie główne złe i niebezpieczeństwo w zalecaniu tajnej pracy. Łatwo nam Wielkopolanom powstawać przeciwko tajności robót narodowych, nam, którzy mamy prawo i możność pracowania jawnie nad utrzymaniem naszej narodowości i popieraniem naszych interesów narodowych, — nam, którzy nawet dostatecznie nie wyzyskujemy wszystkich legalnie nam przysługujących dróg i środków, wiodących do tego celu Ale postawmy się w położenie naszej braci w Królestwie, gdzie zbliżenie się do ludu w celach oświaty jest już wszystkimi sposobami utrudnione i uważane za „nieprawowierność“. Czy do takiego celu, jeżeli nie można iść jawnie i głośno, nie godzi się dążyć choćby „tajnie“. Wyraz ten sam nabawia febry niektórych polityków naszych, — a jednakże są sytuacye, w których jest on niemal jedyną drogą wyjścia. Przypominamy tylko czasa bismarkowsko-falkowskiego kulturkampfu, w których i władza kościelna zmuszona była do „tajności“.

Nie dziwi się, że w zaborze rosyjskim istnieje organizacya — „owszem byłoby rzeczą dziwną, gdyby ludzie dobrej woli a żywszego uczucia nie szukali porozumienia ze współmyślącymi, widząc złe, czując niebezpieczeństwo i pragnąc przysłużyć się słusznej i świetej sprawie“.

Uważe jednak ów p. B., że ogłoszenie odezwy było „błędem politycznym“. Tegoż zdania jest pewien odłam młodzieży, przynajmniej odnośnie do zaboru pruskiego, zaznaczając jednocześnie, „że nad Ligę Narodową, stronnictwem demokratyczno-narodowem, jego doniosłością i zasługami nie będziemy się rozwodzili“ i wykazując, że dyskusya zbiegła na manowce, bo główna rzecz na tem polega: czy wydanie odezwy było w danej chwili potrzebnem.

Niestety, dyskusya w tej sprawie jest bardzo trudną, chociaż nawet ludzie, należący do stronnictwa demokratyczno-narodowego, mogą mieć w niej, jako w sprawie taktyki, zdania wręcz odmienne. Sądzimy jednak, że organizacya, która od kilkunastu lat tajnie istniała i z ogłoszeniem istnienia nie spieszyła się wtedy nawet, kiedy rząd rosyjski przypadkowo o Lidze Narodowej się dowiedział — musiała mieć ważne powody do zmiany taktyki dotychczasowej. Nie pomylimy się z pewnością, wskazując jeden z nich, bodaj najważniejszy W ciągu lat ostatnich wskutek rozbudzenia politycznego w zaborze rosyjskim w licznych a poważnych kołach obywatelskich poruszano myśl zawiązania jakiejś organizacyi, były próby, niefortunne zresztą, utworzenia czegoś podobnego do Ligi Narodowej i to bodaj pod podobną nazwą. Jednocześnie powstawały zawzwyczaj dla specyalnych prac politycznych luźne kółka ludzi dobrej woli. Otóż ogłoszenie istnienia Ligi i ogólnych zasad jej działalności miało zapewne na celu zadośćuczynienie istniejącej potrzebie politycznej i poniekąd zapobieżenie temu, żeby tajna praca narodowa nie rozpraszała się i nie schodziła na manowce.

Bardzo dobrze i jasno tłumaczy to wszystko drugi artykuł w *Orędowniku*, pochodzący z kół młodzieży, która już wyraźnie przyznaje się do zasad demokratyczno-narodowych

Artykuł ten, wyrażający poglądy pewnego odłamu młodzieży uniwersyteckiej w zaborze pruskim z tego chociażby względu zasługuje na uwagę. Oto jak ta młodzież tłumaczy sobie powody wydania odezwy i rozesłania jej do wielu osób i redakcyi w innych dzielnicach:

„Kto zna chociażby pobieżne dzieje cenzury rosyjskiej, wie, że o faktach zaszłych w Królestwie my tutaj z tej strony kordonu w zaborze pruskim dowiadujemy się lepiej i o całe tygodnie, miesiące, a niekiedy i lata prędzej od samych Królewiaków.

„Ludzie śmielsi dowiadują się o tem, co się w około nich dzieje z gazet tajnych tamtejszych, jak *Walka*, *Pochodnia*, *Robotnik* (wszystkie wychodzą w tajnych drukarniach w Warszawie) *Górnik* (Dąbrowa) a potem zakordowanych, jak *Przegląd wszechpolski* *Polak* i *Przedświt*, kontrabandą sprowadzanych do Królestwa“.

„Ale ogół wie mało a raczej nic nie wie. A są przecież i w tym ogóle ludzie dzielni, pracujący na własną rękę, ale praca jednostki w tamtych warunkach tak szalenie trudna, jeżeli nie znajdzie poparcia, zmarnuje siły i wiele nie zdziała; a są też i ludzie chwiejni ci sami nic nie działają, ale razem z innymi iść gotowi, a wreszcie ogromna masa bezczynnych kwietystów, nie pozbawionych jednakże pewnych zasad etyczno-narodowych, boć pewna iskierka tli w głębi duszy każdego Polaka.

»Otóż dla tych wszystkich, którycheśmy co dopiero wymienili, dla tych w pierwszym rzędzie przeznaczona jest odezwa.

„Ona ma jednych utrwalić, drugich popchnąć do czynu, a innych obudzić ze snu i martwoty. Inaczej się pracuje, jeżeli się wie, że całe zastępy idą za nami, inaczej garniemy się do pracy, jeżeli setki czynią to samo, inaczej się myśli i czuje, jeżeli setki podzielają nasze ideały, nasze pragnienia i dążenia.

„My sądzimy, że z pracą tą powinien się zapoznać, że o pracy tej dowiedzieć się powinien każdy Polak, a mianowicie, ci, którzy dotąd dla społeczeństwa nie pracowali. Taką wiadomość przynosi nam odezwa. Dziś, kiedy praca w Królestwie ma silny grunt pod nogami, dziś jest czas, by o niej dowiedziało się nasze społeczeństwo; my sądzimy, że wydanie odezwy wobec coraz nowszych i coraz więcej wyrafinowanych prześladowań naszej narodowości w zaborze rosyjskim było konieczne i nietylko nie przynosi nam szkody, ale olbrzymie korzyści, pomnażając szeregi pracowników.

„Co się zaś tyczy rozesłania odezwy do Galicyi i do zaboru pruskiego było to wedle nas bardzo na miejscu, gdyż i my tutaj jako Polacy powinniśmy wiedzieć, co się dzieje w Królestwie. Przytem my z odezwy wynieśliśmy wrażenie wielkie, silne i doniosłe; czujemy się zawstydzeni pracą braci naszych z za kordonu i nas ona popchnie do intensywniejszej pracy, z tą różnicą, że to, co czynią tam z konieczności, tajnie, my będziemy mogli robić jawnie, czyli legalnie, nawet wobec rządu pruskiego. My dziś odebraliśmy podnietę do czynu i do pracy, by jak najprędzej skończyć swe studya, wykształciwszy się fachowo jak najlepiej, a, przyszedłszy do kraju, obok wiadomości mieć i serce tam, gdzie się należy“.

Przytaczając powyższe głosy prasy galicyjskiej i poznańskiej spełniliśmy, niedokładnie zresztą, zadanie informacyjne. Do wielu kwestyj, poruszonych w tych rozprawach, wrócimy niebawem. Słusznie mówi *Orędownik*, że przedewszystkiem trzeba „poznać się i porozumieć“. Odezwa ułatwia nam właśnie to poznanie się i porozumienie, chociażby tylko dla tego, że porusza sprawy „zawikłane i drażliwe“...

SPÓŁCZESNE WYCHODZTWO POLSKIE W OŚWIETLENIU PRZYDATNOŚCI POLITYCZNEJ.

Nie rozwodząc się nad przyczynami, które w latach ostatnich wywołały liczne z ziem polskich wychodztwo, zauważę, że ci, co o przyczynach tych piszą, nie podają wszystkich, zatrzymując się wyłącznie na jednej, najjaskrawiej się w dobie obecnej przedstawiającej — na ekonomicznej. Zaprzeczeniu nie ulega, że jest ona ważną, bardzo ważną, nie wyłącznie atoli. Wyłącznie z powodów ekonomicznych kraje rodzinne opuszczają: Niemcy, Włosi, Szwajcarowie, Francuzi. Irlandczyków również powody te z Irlandyi wywołują, ale — w połączeniu z politycznymi. Do tej ostatniej wychodztwa kategoryi należy wychodztwo nasze. Śród przyczyn, wyprowadzających Polaków z kraju rodzinnego, powody ekonomiczne przeważną w dobie obecnej odegrywają rolę, w połączeniu atoli z innymi, ściśle związanymi z położeniem, w jakiem się Polska znajduje. W zaborach moskiewskim i pruskim potęgują je narodowościowe i religijne prześladowania i szykany, wogóle powody natury politycznej, mające na celu tępienie w Polakach polskości dla widoków państwowych. W zaborze austryackim przyczyny polityczne występują mniej jaskrawie, wchodząc pod postacią stosunków społecznych i docisków administracyjnych, nie mniej jednak znaczą. Dla tego w wychodztwach naszych, po całej kuli ziemskiej rozsypanych, pierwiastek polityczny tkwi i nurtuje, urabiając w wychodzcach gotowość służenia krajowi. W czasie powstania ostatniego Polacy na pole walki spieszyli z Japonii, z Australii, z Afryki, opuszczając stanowiska zaszczytne i przyszłość im zapewniające. Henryk Jabłoński, dużej miary poeta, awansowany na konsula w Zanzibarze, mający przed sobą widoki na ogromnie rentowne ambasady na Wschodzie, rzucił w r. 1863 polityczną w służbie francuskiej karyerę dla służenia Polsce.*) Skłonność ta, dzieło atawizmu rasowego, nakazuje zwracać uwagę na pożytek polityczny, jaki wychodztwo w danym momencie krajowi przynieść może. Jeżeli na tę wychodztw swoich stronę zwracają uwagę państwa niepodległe, mocarstwa tego kalibru, co Anglia, Francya, Niemcy, to — tembardziej my. Rozumie się — polityczna ich pożyteczność zależy nietylko od czasu, ale i od miejsca.

Wychodztwo nasze na dwa rozpada się rodzaje: dorywcze-zarobkowe i osadnicze-kolonizacyjne. Pierwsze w rzadkich jeno wyjątkach przekracza granice Europy i wyjątkowo jeno nie powraca w progi rodzinne. Fabryczni, jako też w przemyśle górniczym zatrudnieni robotnicy,

*) Nie dojechał biedak: w Marsylii zaskoczyły go choroba i śmierć w szpitalu.

co lata całe z rodzinami w niemieckich i innych przebywają krajach, nie uważają siebie za wydalonych z ojczyzny na zawsze. Rzadki z pomiędzy nich, z cudzoziemką ożeniony, w dzieciach się wynaradawia. Do tej wychodztwa kategoryi zaliczyć należy, oprócz rekrutujących się w zamożnych społeczeństwa sferach turystów, nie małą liczbę inteligentów, przebywających krócej lub dłużej za granicą, jedni dla dorobków umysłowych, drudzy w celach artystycznych, ci w widokach handlowych i przemysłowych, niektórzy dla uniknięcia wędrówki przymusowej na daleką północ lub na daleki wschód drogą administracyjną, albo też za wyrokiem sądowym. Ci ostatni, z przymieszką zbiegów od wojska, wytwarzają odmianę nowej emigracyi politycznej. W szeregach wychodztwa ze sfery inteligentnej dział wielce interesujący stanowi ucząca się po wyższych zakładach naukowych młodzież: ta duże krajowi oddawać by mogła usługi moralne, gdyby zagranica nie wywierała na nią wpływu, jaki wywiera świeże powietrze na wyprowadzonego na nie z zaduchu więziennego aresztanta.

Wychodztwo osadnicze na miejsce pobytu swego wybiera inne części świata, przeważnie drugą planety naszego półkulę. Osady polskie na małe rozmiary trafiają się w Azyi, w Afryce, w Australii, na rozmiary wcale poważne w południowej, zwłaszcza zaś w północnej Ameryce.

Rozpatrując się z punktu przydatności politycznej w miejscowościach, w których wychodztwo polskie czasowo lub stale przebywa, znaczenie polityczne przyznać można dwóm jeno, a to: Francyi i Stanom Zjedn. Am. Półn. Dawniej wpływy polskie w polityczno-dyplomatycznym sensie, od wychodztwa ewentualnie zależne, mniej lub więcej ważyły: w Wysokiej Porcie, w Stolicy Apostolskiej i do pewnego stopnia w gabinecie angielskim. Czasy te minęły. Wysoka Porta i Stolica Apostolska zeszły do znaczenia ognisk dyplomatycznych drugiego, jeżeli nie trzeciego rzędu, Anglia waży i znaczy wiele, bardzo wiele — dla nas zwłaszcza — jako antagonistka Rosyi; Polacy wszelako nie przysposobili sobie w niej ogniska, któreby funkcyonować mogło jako posterunek polityczny. Istnieje wprawdzie w Londynie, założone po r. 1831 przez arystokratyczne stronnictwo polskie, towarzystwo pod nazwą »historyczno-literackiego« (10 Duke Str.); posterunek ten atoli oddawna pędzi żywot tak dalece senny, iż wielce wątpliwem jest, ażeby rozbudzić się miał w razie danym i w momencie odpowiednim. To samo już jednak, iż się trzyma, na zaznaczenie zasługuje. Nie trzymał by się, gdyby nikt w tem interesu nie miał.

O wychodztwach polskich w Azyi, w Afryce i w Australii mowy zgoła we względzie politycznym być nie może. To samo tyczy się Ameryki południowej, bez wyjątku dla rozgłośnej w czasach ostatnich Brazylii.

Na Brazylii zatrzymam się nieco z powodu żywej a mocno forsowanej i niekoniecznie usprawiedliwionej reklamy, jaka na rachunek jej czyni się obecnie. Przedstawianą jest ona na kształt Eldorada dla Polaków, zapewniającego im dobrobyt zupełny. Ulokowano w niej »Nową Polskę«, którą nazwać by należało nie »Nową«, ale »Inną«, złudzeniem jest bowiem, ażeby osiedleni tam Polacy z pokolenia w pokolenie czystość pochodzenia swego uchować mogli. W drugiem, w trzeciem pokoleniu już ich rozpoznać trudno będzie: w razie najlepszym wytworzą jakąś i we krwi i w mowie mieszaną narodowość. Nastąpić to musi z tej racyi, że żywioł polski wobec naporu asymilacyjnego nie jest, jak żydowski lub cygański, odpornym. Wychodztwo nasze w Brazylii (w Paranie) dla tego właśnie, że tameczne gleby i klimatu warunki kolonizacyi sprzyjają, znajduje się, lub się niebawem znajdzie w styczności spółzawodniczej z wychodztwami włoskiem i niemieckiem, bez porównania od polskiego zaradniejszemi. Gdy przeto weźmiemy na uwagę trzy naciski narodowościowe — dwa spółzawodniczące, włoski i niemiecki, i jeden rządowy, brazylijski, po którego stronie stoi kościół — pytamy: jak z pod tych silnych a koniecznych nacisków wyjdzie narodowość polska?.. A pewność utrzymania się jej na tamecznym gruncie jest to jeden z argumentów najsilniejszych, którymi promotorowie wychodztwa do Brazylii pozyskać dlań usiłują opinię publiczną i, co za tem idzie, ochotników. O argumentach innych wspominać nie warto. Polityczne? — te nie istnieją wcale. Handlowe? — jakie stosunki handlowe pomiędzy Polską a Brazylią w najbujniejszej wymyślić się dadzą wyobraźni?.. Jedynie przeto w perspektywie ukazujący się dobrobyt materjalny przemawia za osadnictwem polskiem w tej tak od Polski oddalonej krainie. Jedynie dobrobyt materyalny — powtarzamy. Co się zaś innych tyczy korzyści, moralnych np. na te wielce wątpliwej natury pada światło, jeżeli wierzyć mamy korespondencyom p. Okołowicza (*Kuryer codzienny* w początkach stycznia r. b.), wedle którego Brazylijczycy dzielą się na dwa stronnictwa: rządowe i opozycyjne, składające się — pierwsze z takich, co kradną, drugie z takich, co kraść chcą. Piękny to — zaprawdę — dla wychodztwa polskiego przykład — dobra szkoła!.. Z tego wynika, że, jeżeli się przewidywać dają jakie w Brazylii dla wychodztwa polskiego korzyści, to przeważnie materyalne i wyłącznie dla wychodztwa. Dla Polski? — dla Polski starej... kapnie ztamtąd chyba od czasu do czasu kilka groszy na Skarb Narodowy, — póki wychodztwo tameczne o niewolą gniecionej, męczeństwem ilustrowanej, ojców swoich krainie nie zapomni...

Takie i tym podobne jak w Brazylii warunki, zapewniające wychodzcom dobrobyt, znajdują się i w innych w Ameryce południowej

respublikach. Żadna z nich atoli nie posiada warunków, z których wyniknąćby mogła jakakolwiek natury politycznej dla starej wychodztwa polskiego ojczyzny korzyść. Bo gdyby nawet — przypuszczam — wychodzce, dzięki cudownym jakimś zrządzeniom, język zachowali, to — i cóż z tego?.. Czy z językiem na obcym gruncie, w obcym klimacie, pod obcem niebem, w styczności z obcymi ludźmi, w sprzężeniu z obcymi interesami, dążeniami i widokami, nie staliby się bądź od pnia oderwaną i na uschnięcie skazaną gałązką, bądź też szczepem innonarodowym, szczepem o tyle, jeżeli dzięki oddaleniu nie bardziej Polsce obcym, co sąsiadujące o miedzę z Francyą, po francusku mówiące i piszące, dzielnice szwajcarska i belgijska obcemi są Francyi?..

Polityczna dla Polski z wychodztwa korzyść przypuszczać się — jak rzekłem wyżej — w momencie obecnym daje w dwóch jeno, stanowiących ważne ogniska polityczne, środowiskach: w Stanach Zjednoczonych Ameryki północnej i we Francyi.

Nad państwami temi, zajmującemi stanowiska mocarstwowe, wiszą w dalszej lub bliższej przyszłosci nieuniknione z zaborcami Polski obrachunki. Francya wprawdzie uprawia obecnie serdeczną z Rosyą przyjaźń. Przyjaźn to jednak polityczna, z niej zyski wszelakie kosztem francuskim na rachunek własny ciągnie Rosya: z łatwością cała przyjaźń ta w chwili jednej zmienić się może w nieprzyjaźń zawziętą. Co zaś do Stanów Zjednoczonych, mocarstwo to, wespół z Anglią, ma do rozwiązania rasy anglo-saskiej zadanie, polegające na usunięciu Rosyi od stanowiącego cel jej pragnień i dążeń — panowania wszechświatowego. Otrą się one o nią, zrazu jako ze spółzawodniczką, na t. zw. »dalekim« wschodzie; następnie ocierania się pójdą raz po raz dalej i głębiej — sięgną aż do sprawy polskiej pod warunkiem, gdy się o tę upomnieć będzie komu.

Komuż? — czy nie tym, co w momencie danym, na odpowiedniem stanowisku strategicznem, polskie zajmować będą posterunki?..

Polskie w Stanach Zjednoczonych wychodztwo czekają we względzie narodowościowym losy podobne do tych, jakieśmy zaznaczyli, mówiąc o wychodztwie polskiem w Brazylii. W drugiem, w trzeciem pokoleniu, w potomkach wychodzców z siedemdziesiątych wieku XIX lat, Polacy z trudnością rozpoznać się dadzą. Zatracą oni wyróżniające nas śród narodów cechy zewnętrzne. To smutne, ale do pewnego tylko stopnia. Jeżeli ci, co w momencie obecnym interesy wychodztwa sprawując, o Polsce wiedząc i pamiętając, pozakładają dla dzieci szkoły polskie, dla dorosłych czytelnie i biblioteki polskie, muzea polskie, dla wszystkich kościoły polskie, jeżeli w zakładach tych idea polska do kamieni niejako przywre, to z nich kolejno wychodzące a językiem polskim coraz

to słabiej władające pokolenia będą o Polsce wiedziały, pamiętały i światu ją w chwilach stosownych przypominały. Zakłady tego rodzaju — to nasze posterunki polityczne. W Ameryce wytwarzają się one, przysposabiają, dzięki zwłaszcza zabiegliwości patryotycznej Związku Narodowego Polskiego; w Europie przysposobiła je emigracya z r. 1831 — posiadamy we Francyi (w Paryżu): Szkołę, Bibliotekę, parę zakładów filantropijnych, fundusz dla inwalidów, — w Szwajcaryi: Muzeum w Rapperswylu.

Śród zakładów wyżej wymienionych za jeden z ważniejszych uważamy szkołę — tę właśnie szkołę, przeciwko której w czasach ostatnich, zawzięta, w szeregach zwłaszcza wynalazców »Nowej Polski« w Brazylii, zawichrzyła się polemika. Zrazu doradzano przeniesienie do Parany; obecnie domagają się zniesienia jej bądź co bądź i to — w imię patryotyzmu (?). Patryotyzm ów gorszy srodze to, że wychodzą z niej ludzie, co po polsku nie mówią. To fakt — w fakcie tym atoli zgorszenia nie ma, jeżeli weźmiemy na uwagę, że ludzie ci o Polsce wiedzą, myślą o niej i nawet dla niej pracują. Zawiązali oni towarzystwo, po francusku sprawę polską uprawiające. Towarzystwo to *(Association des anciens elèves de l'école polonaise)*, liczące bez mała 300 członków, synów wnuków i (zdaje się) prawnuków bojowników z r. 1831, rozporządza dość znacznym, dobrze i uczciwie administrowanym funduszem zapomogowym; wydaje przytem pismo (*Bulletin Polonais*), zaznamiające Francuzów z polską nauką, literaturą, sztuką i z położeniem, w jakiem się obecnie Polska znajduje. Członkowie jego tłumaczą celniejsze w literaturze polskiej utwory, biorą w obchodach pamiątkowych udział wybitny. Śmiało twierdzić można, że śród członków »Stowarzyszenia byłych uczniów szkoły polskiej«, po polsku nie mówiących, ten, co mowę ojców swoich najmniej rozumie, lepszym jest z pewnością Polakiem, aniżeli najbieglejszy w języku Kochanowskich, Skargów, Mickiewiczów krakowski stańczyk, petersburski telimeńczyk, a nawet nie jeden z poczciwców, co, oprócz polskiego innym nie mówiąc językiem, sprawę polską na wolę bożą zdaje i na trójlojalną lekkiem sercem pisze się ugodę. Wobec tych *Gazecie handlowo-geogr.* tak niemiłych po francusku mówiących Polaków, szkoła polska pełni funkcyę rozsadnika, na którym hodują się zastępy wchodzących w społeczność francuską przyjaciół Polski. W danym momencie bardzo — bardzo przydać się oni mogą.

Jeżeli, jak jeden z mężów stanu słusznie się wyraził: »Polityka jest przezornością (*La politique c' est la prevoyance)* — ani w imię patryotyzmu, ani gwoli handlowi Galicyi z Paraną, szkoły polskiej w Paryżu znosić się nie godzi. W patryotycznych właśnie, a raczej w pa-

tryotyczno-politycznych widokach o rozwój jej starać się potrzeba. Jeżeli w niej ujemne, pod postacią pedagogicznych i administracyjnych niedostatków, dostrzegać się dają strony — strony te wytykać, niedostatki usuwać, ulepszenia wprowadzać — oto, czego się zdrowy domaga patryotyzm Niechby szkoła do takiego doprowadzona została stanu, ażeby służyć mogła za wzór dla szkół polskich, zakładanych obecnie przez wychodztwo nasze w Stanach Zjednoczonych. Założyciele tych ostatnich, wprowadzając do nich w języku polskim wykłady, wprawiają je w ramy poglądowej o Polsce nauki, ilustrującej zajmujące w programie miejsce poczesne historyę i literaturę narodową. Dla pierwszego uczniów pokolenia, dla pokolenia, którego ojcowie haniebnie mowę angielską kaleczą, język polski ma prym zapewniony. Następnie jednak siła rzeczy zniewoli pierwszeństwa ustąpić językowi, w którym się wszystkie prywatne i publiczne załatwiają interesy i wszelakie dokonywują tranzakcye. Angielszczyzna coraz to wyraźniej naprzód się wysunie; przewaga jej atoli ustąpi wobec wspomnień i tradycyj, uświęconych samą szkoły nazwą, przyrosłych do jej ścian, przechowywanych w programie i najmniejszej państwowym Stanów Zjednoczonych sprawom i widokom politycznym nie przynoszących szkody. We względzie tym służy Francya. Czy jej szkodzą co wykłady języka polskiego, literatury polskiej i historyi polskiej w szkole, której ściany zdobią mapy i obrazy, o Polsce mówiące, na której podwórcu wznoszą się posągi Polaków ?... Ani Francyi, ani Stanom Zjednoczonym rzeczy podobne nie zawadzają ani trochę; jak również najmniejszego nie przynosi im uszczerbku ta osobliwość, że część pewna obywateli krajowych dokładniejsze ma o Polsce pojęcie, aniżeli ogół, dowiadujący się o niej z krótkich w historyi powszechnej wzmianek i nadający znaczenie legendarne wspomnieniom o Kościuszce i Puławskim, o Dąbrowskim, Kniaziewiczu i Poniatowskim. Zgoła im to nie zawadza, żaden ztąd dla nich nie wynika uszczerbek, ani Francya bowiem, ani Stany Zjednoczone nie stoją względem Polski w tym stosunku, co Rosya i Prusy, które w obawie, ażeby ich fabrykatów państwowych nie zasieli Polacy „myślami polskiemi«, żywioł polski tępią na potęgę. Tych nic do tępienia tego żywiołu nie podnieca, przeciwnie — w razie danym przydać się on im może.

Nie wiem, czy o ewentualnej żywiołu polskiego, przechowywanego w szkołach polskiemi zwanych, z których nie wychodzą obywatele, językiem Mickiewicza władający — czy o żywiołu tego przydatności wiedzą i myślą mężowie, władzę w rękach swoich w dwóch wyżej wymienionych państwach dzierżący. Nie wiem o tem, wiem jednak, że w r. 1877 Anglicy, poufni lorda Beaconsfielda agenci, ogromnie się koło Polaków kręcili. W roku owym nie nastręczał się związany ze sprawą

polską interes. Nie jest jednak na przyszłość taki okoliczności zbieg wykluczonym, w którym by sprawa polska z korzyścią dla niej wprowadzić się nie dała. W razie takim posterunki, pod postacią szkół polskich w odpowiednich utrzymywane miejscach, posterunki, wychowujące tu »Francuzięta«, tam w przyszłości niedalekiej »Amerykanięta«, ze wszczepionem w nie o Polsce pojęciem życzliwem, przydatnymi się okażą nie tylko Francyi i Ameryce, ale i Polsce.

La politique c' est la prevoyance. Reguła ta szczególnie stosuje się do szkoły, przez pewną patryotów odmianę skazanej na podzielenie losu szkół polskich w moskiewskich i pruskich zaborach. Patryoci owi z pewnością wyrok swój nie ze złej ferowali woli, ale w zaślepieniu, pochodzącem z zaniku zmysłu politycznego. Brak zmysłu tego, brak absolutny, postrzegać się dający u ludzi zkądinąd poważnych i szanowanych, wydaje rezultaty niepokojące, obłędowi pokrewne. Pod wpływem rozmaitych teoryj i doktryn politycznych i społecznych, przy ewentualnym wtręcie zajść i pretensyj osobistościowych, stał się on w świecie polskim chorobą, szerokie obejmującą koła. Choroba ta wykazuje nierzadko symptomaty wprost potworne. Na pięknościach na wywrót nie braknie już patryotyzmowi, domagającemu sią zniesienia bądź co bądź szkoły batignolskiej. Prezentować się on jednak umie piękniej jeszcze. W pewnem mieście zagranicznem część przebywających w niem Polaków obchodziła jedną z rocznic patryotycznych, część zaś inna tego samego wieczora, o tej samej godzinie poszła na bal moskiewski, który ilustrowała popisami, odtwarzającymi *sclavi saltantes.* Wywołało to oburzenie w tych Polakach, co wogóle bratania się z Moskalami nie uważają za rzecz godziwą i potrzebną, bratanie się zaś z popisami uważają za czyn nie przyzwoity. Jakże się tamci usprawiedliwiają?.. Fakt oburzenia podają za postępek ohydny; swój zaś w balu moskiewskim udział osłaniają — no — czem?... — »Starem polskiem hasłem powstańczem: Za waszą i naszą wolność«... Co?... To wydrukowane*) Wobec tego — możnaż się dziwić ochotnikom burzenia posterunków polskich za granicą?...

Ochoty tej nie usprawiedliwia żadna racya poważna. Obecność szkół i innych zakładów polskich na obczyźnie jest znakiem i świadectwem, że są to strategiczne w sensie politycznym stanowiska, wskazane przez odpowiednie ułożenie się politycznych międzynarodowych stosun-

---

*) Odezwa *Spójni,* towarzystwa młodzieży polskiej w Paryżu, „do członków Zjednoczenia«, z którego *Spójnia,* wraz z *Tow. młodz. polsk.* w Zurychu i częścią *Polonii* w Genewie wystąpiła i weszła do założonego odrębnie *Związku młodzieży polskiej postępowej.*

ków. Polska, nieistniejąca jako państwo, posiada nie mniej przeto wielkie międzynarodowe znaczenie. posiada je dzięki temu, że w państwach, co ją rozebrały, stanowi żywioł wiekuiście niezadowolniony, usposabiający ją do sprzymierzania się z zaborców jej spółzawodnikami i przeciwnikami. Do zapośredniczenia we względzie tym nikt się chyba nie nadaje lepiej nad wychowańców szkół polskich posterunkowych. Nie burzyć więc je należy — nie burzyć, ale podtrzymywać, te co istnieją doskonalić i nowe pod skrzydłem antagonistów wrogów naszych zakładać, wyposażając je tak, ażeby możliwy pod wpływem asymilizacyjnym zanik wyodrębniających wychodźtwo nasze cech narodowych przetrwały. Nie idzie za tem, ażeby się i w innych, gdzie wychodztwo polskie przebywa, krajach szkoły polskie zakładać nie miały. I owszem!... Pożądanemi są one w Rumunii i na Słowiańszczyźnie południowej, gdzie niemałoliczni wychodzce polscy z łatwością się doszczętnie w pierwszem już pokoleniu wynaradawiają. Czemuż się ku nim protektorów Parany troskliwość nie zwraca? W tej stronie i stosunki handlowe racyonalniej i łatwiej, aniżeli z Brazylią, ułożyć by się dały.

Przeciwko Brazylii — ostatecznie — cóż mieć można? Żyzność gruntów, taniość ziemi, ułatwienia kolonizacyjne poręczają, jak twierdzą niektórzy, za dobrobyt tych, co się tam osiedlą. I tyle. Ale — »czego za dużo, tego za wiele«. Względy filantropijne nie pozwalają przed ochotnikami na wychodztwo taić warunków, zapewniających im powodzenie w krainie, co z lekkiem sercem pozbyła się zaszczytu bycia podścieliskiem tronu cesarskiego i jeszcze się należycie nie urządziła. Obok filantropijnych są inne jeszcze względy, na które, zajmując się sprawą wychodźtwa uważać należy: ekonomiczne — te z filantropią harmoniują i wchodzą wprost do zakresu stosunków handlowych i przemysłowych brazylijskich; polityczne — tych nierozumienie rażąco ilustrują projekty na zburzenie jednego ze wcale ważnych posterunków polskich; patryotyczne — o tych niekoniecznie dobrze świadczy rozreklamowywanie »nowej“ Polski podczas kiedy stara, ojczyzna nasza rodzona, uciskana, gnębiona, zatruwana, deprawowana, moskwicona i germanizowana wymaga ze strony naszej obrony czynnej, usilnej i na chwilę jedną nie ustającej. Do czegoż to opinii publicznej bałamucenie ukazywaniem jej mirażów aż przez szkła, zabarwione podrywem patryotyzmu i polityczną w odniesieniu do Polski starej krzywdą? Czy nie wystarcza jasne i rzetelne amatorom na wychodztwo przedstawienie tego, co ich w Brazylii, a gdzieindziej czeka?...

W dobie obecnej Polakom, których sprawa polska obchodzi, wypada na wychodztwo się oglądać i w niem się »w oświetleniu przydatności politycznej“ rozpatrywać. Wszystko wnosić każe, że nadchodzą

dla nas czasy cięższe, niż dotychczasowe. Sądząc wedle obchodzenia się z nami Moskwy i Prus, oraz ze względu na to, że Austrya znajduje się w przededniu powrotu rządów absolutnych, które »*hier*« do wszystkich życia publicznego czynności wprowadzić nie omieszkają, wychodztwu przypadnie znów rola, jaką odgrywała po r. 1831 — rola zastępcza i wyręczycielska w sprawach Polski. Uświadomienie się przeto we względzie tym jest obowiązkiem obywatelskim ludzi, nie poprzestających na niewinnej kondycyi „zjadaczy chleba«.

Ażeby współobywatelom moim ułatwić pełnienie powyżej zaznaczonego obowiązku, skreśliłem niniejszy na wychodztwo polskie pogląd.

Z. Miłkowski.

P. S. Zamieszczając artykuł czcigodnego pisarza zaznaczyć musimy, że na niektóre poglądy lub na ich sformułowanie zgodzić się nie możemy, sądzimy jednak, że właśnie w sprawie, w artykule tym poruszonej, dyskusya poważna i zasadnicza jest potrzebną. *Przyp. Red.*

POLITYKA I HISTORYA.

I

Niema dwóch całkiem podobnych zdarzeń w historyi. Każdy fakt, każde zjawisko w życiu narodu ma swoją oryginalną cechę. Nie poszukujemy go w przeszłości i napróżno staralibyśmy się go doczekać w przyszłości. Dlatego też umiejętność historyi nosi dotychczas tak wybitnie charakter opisowy, dlatego stoi tak znacznie poza naukami rozumowemi, dlatego wreszcie tak przyzwyczailiśmy się historyę uważać za czysto pamięciową gałęź wiedzy i rzadko kto przypisuje jej praktyczną doniosłość i znaczenie.

To stanowisko jest wręcz fałszywe, i gdyby większość naszej inteligencyi, cierpiącej na rozpolitykowanie albo, wprost przeciwnie, na atrofię zmysłu politycznego posiadała swiadomość życia nie tylko dzisiejszej doby, co najwyżej dwóch, trzech pokoleń, ale szeregu wieków, mijających po sobie, natenczas wcale inaczej przedstawiałaby się rola historyi w całokształcie wiedzy i w życiu ludzkiem. Obecne pokolenie jest dzieckiem z krwi i kości dawnych, których myśli i czyny oddziaływują na teraźniejszość. To oddziaływanie jest niepostrzegalne dla nas. Widzimy tylko pewną logikę i pewną konsekwencyę, z jaką kroczyliśmy i kroczymy naprzód w historyi. Przez analogię z rozwojem osobnika nazywamy to charakterem narodowym. Ten charakter służy nam do wytłómaczenia pewnej prawidłowości i ciągłości w dziejach całego narodu. Odczuwamy charakter swój narodowy, jakby in-

stynktowo. rozpoznajemy go po każdym błędzie i upadku, jak zarówno opieramy się na nim w zwątpieniu. Ale świadomość jego jasna i wyraźna dopiero czerpie się z dziejów, które karmią i żywią nas, a są księgą zapieczętowaną dla obcych, o ile my sami nie należymy znów do większego zbiorowiska ludów, wspólnie ze sobą żyjących a nasze dzieje nie stanowią cząstki dziejów powszechnych. To zbiorowisko ludów składa się na pojęcie wyższe świata zachodniego, kultury europejskiej, czy jak kto chce nazwać ten potok dziejów ogólnoludzkich, w którym my sami, naród nasz, stanowi źdźbło, unoszące się wraz z wieloma innemi w tym samym kierunku.

Charakter narodowy, prądy dziejowe albo duch czasu są to najogólniejsze terminy w historyi, z poza których każdy fakt, każde zjawisko wydaje się analogicznem, całkiem podobnem do poprzedniego i, odwrotnie, jest zwiastunem oraz praformą przyszłych wypadków historycznych danego narodu.

Powiedzieliśmy wyżej, iż żadne zjawisko w historyi nie powtarza się a musimy to zdanie natychmiast uzupełnić, iż objawy życia pewnego narodu co do swej istoty, swego ducha są wiecznie te same, gdyż określa ich zawsze ten sam charakter i ten sam prąd, kierunek dziejów.

Ten ruch rytmiczny zdarzeń w historyi, już nieraz posłużył za punkt wyjścia badaczom dziejów. Przypominam tylko jeden z najsympatyczniejszych dla nas umysłow francuskich A. Sorela.

„Czysty rozum“ — mówi on — „nie jest podstawą ani dla polityków, którzy się kierują interesem państwa, ani dla ludów, które się kierują uczuciami. Lecz istnieją zarówno dla państw jak i dla ludów tradycye, które są również stare, jak dzieje, gdyż wychodzą z tego samego źródła, co historya, i rozwijają się równolegle z potokiem dziejów. Ich oddziaływanie na umysły jest całkiem instyktowe i tym bardziej obowiązujące, im mniej umysły spodziewają się mu ulegać.“*)

Znajomość przeto dziejów jest to warunek konieczny dla polityki. Historya skupia w świadomości wszzstkie pierwiastki, całą siłę ducha danego narodu. Polityka jest praktycznem zastosowaniem wskazań historyi. Wskazania te są tym ważniejsze, im nieodzowniej, z większą stanowczością będą i muszą powtarzać się w dziejach każdego narodu te same, raczej analogiczne fakty i zdarzenia. Rytmiczny postęp dziejów drwi sobie z wszelkich nawoływań do poprawy, z ubolewań nad własną lekkomyślnością i t. p. Co najwyżej pewne imponderabilia

*) L'Europe et la revolution française.

mogą przeważyć raz na korzyść naszą to znów na niekorzyść ruchu który z tradycyi, z ducha narodowego został zapoczątkowany.

Mogą te uwagi wydawać się truizmami, nie nadającymi się do dyskusyi lub polemiki. A jednak, wręcz przeciwnie, musimy utrzymywać iż życie bieżące na każdym kroku zadaje kłam tym powszechnym prawdom. Weźmy pod uwagę chociażby najpospolitsze u nas rezonerstwo polityczne z punktu widzenia, najogólniejszych zasad lub interesów, wszystko jedno jakich — ogólno-ludzkich, humanitarnych, klasowych, wyznaniowych wogóle abstrakcyjnych, byle tylko nie swoich własnych, blizkich, realnych interesów i zasad historyczno-narodowych. A drugi objaw zapoznawania tej prawdy, to słabość, niedołęztwo ducha brak poznania siebie i oparcia się na sobie samych. Ilekrotnie to gnębimy w najlepszej wierze objawy samorzutne naszego charakteru narodowego, z obawy przed ściągnięciem na siebie ponownie dawnych nieszczęść i upadków. Jak zgodnie tutaj cała czereda pismaków występuje z grzechotkami, piszczałkami, wrzaskiem i krzykiem, na podobieństwo dzikusów, chcących odstraszyć potwora, który według ich pojęć ma zamiar pożreć księżyć w czasie zaćmienia. Nie dziwmy się. regularny i konieczny bieg ciał niebieskich jest czemś analogicznem do rytmicznego ruchu zjawisk dziejowych. Tylko „la raison pure“ zapomina, że przyszłość jest zawarunkowana przeszłością.

Gdyby nie było tej prawidłowości rozwoju danego narodu, natenczas w rzeczy samej w każdym danym momencie czasu możnaby zaczynać nowy okres dziejów, wybierać sobie drogę i kierunek dowolny. Tymczasem rzeczy się mają wprost przeciwnie. Nie jedno lub parę pokoleń, lecz całe stulecia i kilkuwiekowe okresy utorowały koleje życia narodu na daleką przyszłość. I wcale nie jest paradoksalnem twierdzenie, iż zjawiska w historyi danego narodu ponawiają się ustawicznie. Ciągły jednostajny ruch rytmiczny, fala przypływu i odpływu przejawia się nawet w faktach najbardziej złożonych, w wyładowaniu na zewnątrz energii danego narodu.

Weźmy dla przykładu historyę Francyi. Między pierwszym okresem wojen prowadzonych przez Ludwika XIV, istnieje głębokie podobieństwo do walki Francyi zEuropą za Dyrektoryatu. Wojna sukcesyjna hiszpańska jest jakby antycypacyą wojen za czasów pierwszego cesarstwa. W każdym z tych wypadków był siłą czynną jeden i ten sam geniusz narodowy, któremu cele bliższe zakreślały położenie geograficzne i położenie ogólne.

Teorya rytmicznego ruchu dziejów drwi sobie z wszelkich tak zwanych kataklizmów dziejowych, upadku narodów i t. p. W rzeczy

samej do dziś dnia na widowni historycznej spotykamy te same grupy etniczne, które znajdujemy w zaraniu cywilizacyi a do tego przeważnie na tych samych terytoryach, które zajęły po osiedleniu. Zmieniają się tylko formy ich życia, zwłaszcza wyższe — państwowe, polityczne tudzież przodownictwo przechodzi w ręce jednej lub drugiej grupy. Z tego względu niema racyi analogia rozwoju narodu z rozwojem jednostki. Dajmy na to, w świecie starożytnym mieniają się w przodownictwie monarchie babilońska, asyryjska, perska, poczęści Egipt. Ale nic nas nie upoważnia do twierdzenia, aby z podnoszeniem się potęgi jednej druga grupa etniczna odpadała od drzewa historycznego, jak gałęź, siekierą podcięta, Owszem, byt ich jest współmierny i ciągły. Historya zapomina nie o jednej, lecz o wszysskich razem, dlatego, że się wytwarzają inne ogniska życia, których punkt światła kulminacyjnego przypada na następną porę — Grecya i Rzym, które znów porzuca dla światła germańskiego i słowiańskiego i t. d.

A tymczasem nic nie stoi na przeszkodzie. aby poprzez głuche milczenie historyi prąd tradycyj dziejowych. z większą lub z mniejszą świadomością tkwiących w narodzie nie wskrzesił i powołał na nowo do życia dawno zapomnianych grup otnicznych, ocucił je z kilku wiekowego letargu i przywrócił im dawne formy bytu państwowego, politycznego. Nie rozwodzę się nad przykładami, których wiele dostarcza i wiek XIX a którymi z konieczności zajmiemy się niżej.

Znamię przeto historyczno-narodowe niestarte jest na każdej grupie etnicznej. Co więcej, o ten typ, o indywidualność czyli charakter narodowy wre nieustanna szalona walka, która jest łatwą dla ludów zdobywczych, ciężką dla słabych a zwłaszcza pokonanych. Tym ostatnim brak świadomości sił własnych, ciągłości rozwoju, chociaż i te siły i ta ciągłość istnieją i czerpią się właśnie z ducha narodowego, z tradycyj dziejowych. Cała odporność nasza narodowa właśnie polega na strzeżeniu i pielęgnowaniu tych pierwiastków. Wszystkie usiłowania naszych przeciwników skierowane są aby dopiąć przeobrażenia ducha narodowego na modłę swoją własną, czy to pruską, czy moskiewską. A istnieją jeszcze czynniki wewnętrzne, napierające na przeobrażenie ducha narodowego. Są to rozmaite prądy i kierunki polityczne przystosowania się. Wagę nadają im interesy doby, jak naprzykład ugodowcom w Królestwie warunki ekonomiczne rozwoju zaboru rosyjskiego, stańczykom galicyjskim — polityczna rola która się im uśmiecha w Austryi i t. d. i t. d.

Jestto mocno charakterystyczny objaw, iż najbardziej zarzekają się charakteru i ducha narodowego dawnej Polski te warstwy, których

rola dziejowa najbardziej była związana z ostateczną katastrofą rozbiorów, ci, co przodują pochodzeniem, jakby się wyraził ich nadworny historyk. Tymczasem trzeba być najmocniej przekonanym, a nawet już dziś to się przejawia poczęści, iż lud nasz, nowa formacya dziejowa na widowni politycznej, posiada ten sam temperament, te same skłonności żywiołowe, co i szlachta w wieku XVI lub XVII. Trzeba obserwować dobrze nasz lud, aby się o tem przekonać. Wezmę dla przykładu chociażby taki zwyczajny i pospolity fakt z życia codziennego naszego chłopa. Jest on cichy, spokojny, nawet potulny, ale w sporze granicznym nie ustąpi przed żadną zasadą prawną, i jeśli nie może procesem, to gwałtem upomni się o każdą skibę ziemi, która mu się według jego rozumienia należy. Jak wiadomo spory graniczne — zajazdy były to zakorzenione normy obyczajowe wśród naszej szlachty. Przejdźmy dla przykładu do wyższych objawów życia zbiorowego naszego ludu. W Galicyi mamy zaczątkową formę życia politycznego niższych warstw ludności, co więcej, są już nawet przewódcy stronnictwa ludowego, którzy wyszli z samego ludu oraz pracą i duchem całkowicie wśród niego pozostają. Takim jest naprzzkład poseł Bojko. Uderzał mnie nieraz pewien polot, styl albo lepiej duch jego przemówień. Miałem nieco do czynienia z dyarjuszami naszymi sejmowymi, z wotami czyli głosami posłów. Otóż charakter z jakim przemawia sympatyczny poseł ludowy, żywo przypomina styl mówców sejmowych: to samo namaszczenie, ten sam talent opisowy, i to samo szczere, proste uczucie braterstwa, nie z rozumu lecz z instynktu społecznego wysnute — oto jakbym porównał obydwóch mówców — naszego sejmu w wieku XVI lub XVII i naszych wieców chłopskich na schyłku wieku XIX. Prawda, że przykład ten odnosi się tylko do pewnej jednostki. Tem niemniej krasomówstwo polityczne, jako już pewien rodzaj sztuki, najlepiej wyraża się u wybitniejszych przedstawicieli danego okresu czasu. Z zasługami pochodzenia nie spływają na potomków zazwyczaj talenty przodków. Nic więc dziwnego, iż spadkobiercami naszych Sienińskich, Ossolińskich, Tenczyńskich itd. mogą być w dzisiejszych czasach Bojkowie oraz im podobni.

Nawet w tak słusznie czy niesłusznie zwanem warcholstwie partyi ludowych przebijają się reminiscencye naszego politykującego ziemiaństwa.

Bez zaprzeczenia takich Stojałowskich Polska miała i dawniej. Nie dziwmy się, że, mimo całej awanturniczej przeszłości tego wodza ludu, znajduje on do dziś dnia popularność i wielu sojuszników w sferze włościan. Wszakże niemniej burzliwy żywot prowadził ks. Orzechowski w XVI w. a pozostawił po sobie wpływ znaczny w historyi.

Nawet niektóre koleje losów są dziwnie podobne u obydwóch tych postaci. Orzechowski walczył podobnie jak dzisiejszy jego epigon z hierarchią duchowną, złamał celibat — ożenił się, a mimo to bodaj czy nie najbardziej przez tę walkę z duchowieńswem znalazł żywe sympatye pośród szlachty. Temu porównaniu nie stoi na przeszkodzie ta okoliczność, iż tło działania obydwóch jest całkiem różne. Owszem tła te pod wieloma względami zbliżają się — w wieku XVI reformacya, protest przeciwko duchowi hierarchi kościelnej średniowiecznej; w naszych czasach — prądy socyalne — walka o polepszenie warunków ekonomicznych.

Przykładom tym nie przypisuję większego znaczenia po nad to, iż obrazują one analogiczny według pewnego typu rozwój ducha, charakteru narodowego. Z dziwną jednostajnością każdy wiek wchodzi w te same koleje, które wyżłobiły wieki dawniejsze. Ten pierścień, który wykuła przeszłość, tradycya dziejowa, jest silniejszy ponad wszelkie partykularyzmy, które z biegiem czasu się wytwarzają, a co więcej, po nad wszelkie zakusy wynaturzenia lub wynarodowienia ze strony mocarstw zaborczych.

Jedna historya ma prawo pokusić się o wyosobnienie i przedstawienie tego pierwiastku narodowego w potoku zdarzeń. Niestety, wiek XIX nie przyniósł spodziewanych owoców. Ujęcie ducha narodowego dokonało się naprzód w poezyi z całym pietyzmem, wiarą i zapałem. Nic więc dziwnego, iż przez cały wiek ubiegły jedna poezya podtrzymywała i pielęgnowała charakter narodowy w czystości. Do jej rydwanu przyczepiło się później powieściopisarstwo historyczne, które bodaj czy nie więcej tłómaczy się aspiracyami i uczuciami narodowemi, aniżeli potrzebami estetycznemi. Bodaj jeśli się nie mylę i w filozofii umysł polski wkroczył na właściwą drogę. W dziejopisarstwie natomiast przez cały wiek XIX brak koncepcyi.

Szkoła i metody dobre, poszukiwania zaś po największej części bezpłodne. Spotykamy naprzód najmylniejszy punkt wyjścia i przystosowanie do niego całego poglądu na dzieje. Biorę dla przykładu drugi tom „Dziejów Polski“ p. Bobrzyńskiego i przytaczam dosłownie nagłówki poszczególnych okresów z ostatnich dwóch wieków istnienia Polski . . . *Słaba i krótkowidząca polityka Zygmunta I-go . . . Szlachta upada w walce swojej z anarchią . . . Zygmunt III marnuje owoce wielkiej pracy Batorego . . . Błędna polityka zewnętrzna* i t. d. i t. d. To jest satyra na dziejopisarstwo. Książka ta zawsze będzie służyć za dowód, jak dalece doktryna polityczna może skrzywić najbystrzejszy sąd o faktach. Autor, sławiąc pierwsze pięć wieków istnienia Polski a potepiając dalszy jej trzechwiekowy rozwój, maże jedną ręką

to, co drugą kreśli. Wytykając brak rządu — a ma na myśli rządy monarchiczne, absolutystyczne, jakie się wytworzyły na Zachodzie, przeocza rozwój dziejów Anglii. Wszakże usiłowania Stuartów w XVII w. o to samo się rozbiły, o co się złamały dążenia absolutystyczne pierwszego a bodaj i dwóch ostatnich Wazów u nas. Dlaczego nie opłakiwać umiarkowania naszego ruchu republikańskiego szlacheckiego w XVII w? Wszakże Zygmunta III mógł spotkać ten sam los, co Karola I, a Zebrzydowski mógłby uprzedzić o półwieku Kromwella.

Parafrazuję tylko myśli p. Bobrzyńskiego, jeżeliby się chciało prawdę dziejową naciągać do pewnej doktryny.

Nie wyprowadzajmy przeto naszego badania dziejów od końca, chociażby od „bolesnej katastrofy“, bo nam może zabraknąć wątku do dalszego snucia tych dziejów. A tymczasem nawet najpesymistyczniejszy pogląd na obraz naszej Rpltej w ostatnim wieku jej istnienia nie zaprzeczy, że tutaj rozpoczyna się praca nad odrodzeniem, która trwa poprzez cały wiek następny.

Upadek Polski musimy odnieść przedewszystkiem do szeregu zjawisk w dziejach XVIII w. i to przedewszystkiem zjawisk natury międzypaństwowej. Jeżeli jeden z najznakomitszych historyków francuskich nazwał ten fakt „bankructwem cynicznem“ Europy, to leżał on w prądach dziejowych, mających swe źródło nie w charakterze naszym narodowym. Rousseau pisał w r. 1772: „widzę wszystkie państwa chylące się ku zgubie, monarchie, republiki, wszystkie te narody o tak wspaniałych urządzeniach, te systemy rządów tak mądrze zrównoważone wpadły w rozstrój, grożą rychłą śmiercią. Wszystkie wielkie narody drżą przygniecone własnym ciężarem“. Mably pisał o zupełnym upadku Anglii. Rousseau w r. 1760 przepowiadał jej zgubę za lat 20. Fryderyk W. pozostawił nam w swoich pamiętnikach jedno cenne spostrzeżenie o swojem dziele — monarchii pruskiej. Pisał o swym synowcu, późniejszym królu Fryderyku Wilhelmie II i uznał, że pod rządami tak zdolnego następcy, Prusy mogą doczekać się swego końca. Jakoż przepowiednia ta istotnie sprawdziła sie po r. 1806.

Polityka, niosąca zagładę i zgubę państw, była w duchu XVIII w. Już Ludwik XIV wprowadził był zasadę cyniczną łamania praw historycznych. Ale były to dopiero początki. Mistrzami w tej polityce okazali się dopiero Fryderyk II i Katarzyna. A prądowi temu musiała ulegać nawet bogobojna Marya Teresa o której Fryderyk ze zjadliwym sarkazmem wyraził się „elle pleurait, mais elle prenait“.

Dlatego nie wypada nam sięgać aż po tę lub inną formę rządu a tym mniej po charakter narodowy dla wytłumaczenia upadku Polski.

Dosyć jest ten fakt odnieść do obyczajów politycznych Europy w tych czasach, które uwieńczyło dopiero dzieło Napoleona. I rzecz szczególna właśnie wtedy, gdy Moloch rewolucyi, która wyszła z abstrakcyjnych zasad filozofów wieku oświecenia, najbardziej przygniatał Europę, gdy w sferze polityki międzymocarstwowej system podziałów, tworzenia nowych państw i rozbijania dawnych odniósł ostateczny tryumf, wszędzie poczynają się budzić prądy narodowo-historyczne, opierające się choćby na fikcyi średniowiecza, którą wprowadzili w modę romantycy. Prądy duchowe XIX w. skierowały się przedewszystkiem do podkopania zasad czystego rozumu, a polityka wprowadziła na miejsce dawnej jedynie i powszechnie obowiązującej racyi stanu (raison d'état) zasady narodowościowe, które popchnęły rozwój państw na odmienne tory.

Mijają lata po sobie, nawet pokolenia a trudno dostrzedz jakąś zmianę zasadniczą w życiu narodu. Dopiero gdy zamiast lat ustawimy obok siebie szeregi cyfr, oznaczających wieki, wtedy każda liczba przybiera swoje oryginalne znaczenie. Ma się tutaj rzecz podobnie, jak w architekturze, jeśli postawilibyśmy obok tumu św. Szczepana Zwinger Drezdeński, obok niego zaś znów jakąś halę przemysłową ze współczesnych wystaw powszechnych.

Wiek dziejów jest to już znaczny okres czasu i z pewnością wiek przyszły będzie się bardziej interesował wiekiem XIX w historyi naszej, aniżeli zajmować najtragiczniejszemi i najbardziej wstrząsającemi katastrofami w. XVIII. Dla historyka dzisiejsza doba jest końcem, dla polityka punktem wyjścia.

Mimo olbrzymich zmian w warunkach naszego życia, jakie zaszły na przełomie dwóch ostatnich wieków, pozostały niezmienione — pierwiastek etniczny polski i terytoryum geograficzne, przez niego zajmowane. To są dwa główne czynniki, które warunkują cały tok dziejów naprzekór wszelkiemu pozornemu ich rozrywaniu się. One też tworzą podwalinę dla sprawy polskiej w XIX. w.

W. B.

Z CAŁEJ POLSKI.

Oporni unici. — Propaganda katolicyzmu. — Obawa podrażnienia Rosyi. — Manifestacya na koncercie i jej pośrednie skutki. — Ciekawy objaw. — Kilka uwag o wychodztwie zarobkowem.

»Najpoddańszy raport ober-prokuratora najświętszego synodu« (Pobiedonoscewa) o stanie prawosławia na kresach państwa rosyjskiego, jest, pomimo urzędowej powściągliwości, dokumentem ze wszech miar ciekawym. Ma się rozumieć, zwyczajem wielkich i małych urzędników rosyjskich, ober-prokurator synodu, określając stan prawosławia w ka-

żdej prowincyi kresowej, zapewnia przedewszystkiem cara, że wszystko idzie pomyślnie (*wsio obstoit błahopołuczno)*, ale... Otóż to »ale« jest właśnie najciekawszem dla nas.

Tak np.w dyecyzyi chełmsko-warszawskiej b. greko - unici »oddani są cerkwi prawosławnej bezwzględnie, uczęszczają na nabożeństwa, spełniają wszystkie wymagania duchowne i wedle środków swoich składają ofiary«... Rozpowszechnia się zwyczaj pielgrzymowania do świątyń i monasterów prawosławnych w Chełmie, Leśnej, Poczajowie. Słowem b. greko-unici »coraz bardziej zlewają się w jedną całość z cerkwią prawosławną«. Na tym jasnym obrazie są jednak czarne plamy i tó tak duże, że niemal całe tło jego zaciemniają. Przypatrzmy się tym plamom w obrazie, przez Pobiedonoscewa namalowanym.

»Co się tyczy opornych byłych greko-unitów, to ich położenie jest nadzwyczaj smutne. Do spowiedzi nie chodzą, dzieci nie chrzczą, ślubów nie zawierają, zmarłych grzebią samowolnie. Zapomniawszy o wszystkich obowiązkach, jakie religia wkłada na chrześcianina, duszą zupełnie spleśnieli. Nawet powinowactwo krwi straciło dla nich swoją siłę i znaczenie. Nieprawi, niechrzczeni rodzice mają dzieci także niechrzczone które niechrzczonemi również pozostają Oporni odnoszą się do prawosławia z gniewem, unikają spotkania i rozmowy z duchownymi prawosławnymi. Do zmarłych nie przypuszczają wcale duchowieństwa prawosławnego«.

»Według danych statystyczuych za rok 1897 na 377.733 mieszkańców gub. lubelskiej, siedleckiej i w części suwalskiej, przyłączonych do prawosławia, liczba zupełnie opornych, nie łączących się z cerkwią prawosławną byłych greko-unitów dochodziła do 83.000 osób płci obojga Oprócz tego w 1897 roku wahających się tj. takich bytych unitów, którzy się znajdują w stanie oczekiwania, niezupełnie odłączając się od prawosławia, ale i nie uskarżając się na prawosławnych, było około 9.214 osób. Niechrzczonych dzieci w d. 1 stycznia 1897 r. było 26.177. Ze wszystkich 276 przyłączonych parafii, znajdujących się w 1897 roku w dyecezyi, tylko w 35 nie było zupełnie wahających się, ani opornychj We wszystkich innych liczyć ich można było na dziesiątki i setki«.

Najsmutniejsze położenie prawosławia jest w guberniach siedleckie. i suwalskiej.

»W pierwszej na 152.915 byłych greko-unitów zupełnie opornych pod koniec 1897 roku było 63.470, oprócz tego znajdowało się 8.000 wahających się. Dzieci niechrzczonych było 22.803, w związkach nieślubnych 8.496. W gubernii suwalskiej z pośród 14. 670 przyłączonych mieszkańców było opornych 9.773, dzieci niechrzczonych było 2.022, w związkach nieślubnych żyło 806 osób.

»Pomyślniejsze dane statystyczne pochodzą z gubernii lubelskiej. Z pośród 210.148 przyłączonych mieszkańców było opornych wszystkiego 9.341 i 1.220 wahających się; dzieci niechrzczonych było 2 262, w związkach nieślubnych żyło 398.

Cyfry, w raporcie przytoczone, są z pewnością znacznie niższe od rzeczywistych, zwłaszcza liczbę »wahających się«, tj. nie mających odwagi protestować jawnie, należałoby kilkakrotnie podwoić. W każdym razie, nawet według cyfr urzędowych blizko połowa ludności unickiej w gubernii siedleckiej i 2/3 tej ludności w gubernii suwalskiej po dwudziestopięcioletniem okrutnem prześladowaniu trwa dziś jeszcze w wierze katolickiej.

Najsłabszą okazała się ludność unicka w gubernii lubelskiej, w powiatach, graniczących z Galicyą, chociaż tu właśnie opór powien być najenergiczniejszym, bo jest niewątpliwie najłatwiejszym. W sąsiedniej Galicyi unici lubelscy mogli przecie i powinni byli znaleźć pomoc i pociechę religijną.

Na mniejszą niż na Podlasiu odporność ludności unickiej w Lubelskiem złożyło się kilka przyczyn. Pewną rolę gra niewątpliwie charakter ludności miększy, podatniejszy na wszelkie wpływy. Sądzę jednak chociaż może się to wydawać paradoksem, że właśnie łatwość stosunków z Galicyą osłabiła oporność unitów lubelskich.

Na Podlasiu szukali oni pomocy religijnej u duchowieństwa katolickiego. Nieśli im tę pomoc nieraz tajni misyonarze, ludzie hartowni, pełni poświęcenia i zapału religijnego. Trudności i niebezpieczeństwa podsycały gorliwość prześladowanych. Unici lubelscy mieli z Galicyą stosunki ułatwione i znajdowali tu nieraz zamiast pociechy i zachęty do wytrwania w wierze katolickiej — namowę do przyjęcia prawosławia.

Znamy jeden wprawdzie tylko, ale wymowny fakt tego rodzaju. Do księdza unickiego w parafii nadgranicznej zgłosiło się kilku »opornych« z za kordonu z prośbą o spowiedź, u której od wielu lat nie byli. Ów ksiądz przy spowiedzi radził im, żeby zaniechali daremnego oporu, żeby nie sprzeciwiali się rządowi, w końcu zaś dodał, że wiara prawosławna w gruncie rzeczy niewiele się różni od obrządku greckokatolickiego. Ksiądz katolicki w Królestwie, któremu oburzeni tym nikczemnym postępkiem unici wszystko opowiedzieli, zawiadomił listownie śp. kardynała Sembratowicza. Ale propagator prawosławia nie był ukarany, pozostał w parafii i zapewne dalej prowadzi swoje dzieło.

Pomoc religijna dla opornych z za kordonu dawniej była lepiej w Galicyi zorganizowaną, dziś jest gorzej niż niedostateczną. Nigdy zresztą nie odpowiadała należycie potrzebom. Zdarzali się i zdarzają kapłani, pełni poświęcenia, którzy podejmują pracę misyjną wśród unitów w Kró-

lestwie. Na ogół jednak nie wiele się robi dla utrzymania ich w wierze katolickiej. Księża w Galicyi w odpowiedzi na zarzut obojętności twierdzą, że dziś i w Rzymie i w ogóle w wyższych sferach duchownych niezbyt przychylnie patrzą na propagandę wśród unitów w Królestwie, bo to drażni Rosyę...

Tak, w Rzymie wielką wagę przywiązują do zjednoczenia z kościołem katolickim drobnych, odszczepieńczych kościołów wschodnich, liczących zaledwie po kilkadziesiąt tysięcy wyznawców, nie żałują wielkich ofiar w ludziach i środkach materyalnych na misye, przynoszące bardzo skromne rezultaty. A jednocześnie zaniedbuje się sposobność utrzymania w wierze katolickiej i odzyskania dla niej setek tysięcy, a nawet milionów ludzi, zostawia się odłogiem grunt, przygotowany do siejby duchowej i czekający jedynie na siewców. Nietylko w Królestwie ale na Litwie i na Rusi wśród ludności unickiej, przemocą na prawosławie przeprowadzonej, utrzymuje się żywa tradycya katolicyzmu. Przytaczaliśmy niejednokrotnie fakty, świadczące o tem. W r. z. jeden ksiądz, ukrywający się przed władzą, w kilku miejscowościach na Litwie wrócił na łono łono katolicyzmu całe gromady ludzi, których ojcowie już i dziadowie byli 60 lat temu na prawosławie zapisani.

Każdy, kto zna bliżej te sprawy i stosunki, nie wątpi, że propaganda, dobrze zorganizowana i energicznie prowadzona, dałaby w krótkim czasie cudowne rezultaty.

Wspomniałem już o skutkach pracy apostolskiej jednego niemal tylko księdza. O działalności jego ze względów łatwo zrozumiałych mówić szczegółowo nie mogę. Natomiast zaznaczę fakty, przytoczone w raporcie ober-prokuratora synodu.

W r. 1897 organizacya Ligi Narodowej w zaborze rosyjskim postanowiła skorzystać ze spisu jednodniowego dla rozwinięcia żywej agitacyi w duchu katolickim i polskim wśród ludności unickiej w Królestwie i nawet na Litwie. Wydano odpowiednią odezwę i rozpowszechniono w znacznej liczbie numery krakowskiego *Polaka*, zawierające wskazówki, jak się należy zachowywać podczas spisu. Ta agitacya miała skutek doniosły. W wielu miejscowościach gubernii lubelskiej i siedleckiej unici, którzy pokornie przyjęli narzucone im prawosławie, przy spisie ludności podali się jako katolicy i Polacy. Na Podlasiu opór przybrał nawet ostrzejszy charakter. W sferach rządowych powstał wówczas projekt pozwolenia opornym przejść na katolicyzm. Zaniechano tego projektu z obawy, że wszyscy b. unici okażą się opornymi.

Posłuchajmy, co mówi o tem p. Pobiedonoscew:

»Rok 1897 był dla sprawy prawosławia w dyecezyi chełmsko-warszawskiej niepomyślny. Z powodu spisu jednodniowego i zmiany

głównego naczelnika kraju lud wstrząsały najróżniejsze pogłoski. Ciemny, mało oświecony lud przekonywano, iż będzie pozwolono byłym greko-unitom wyznawać swobodnie religię katolicką i rozpuszczane inne temu podobne pogłoski. Ukazywały się proklamacye zagraniczne, które tajnemi drogami dochodziły do wiadomości ludu. Wszystkiemu oporni wierzyli i zapisywali się, jako katolicy. Tu i ówdzie miały miejsce nieporządki. Księża jawnie nieśli opornym potrzeby religijne i odwiedzali ich w domu. W propagandzie tej pomagały księżom różne osoby. W wielu wsiach w gub. siedleckiej tajne stowarzyszenia, p. n. »Kółka« pilnie i skutecznie oddziaływały w kierunku odciągnięcia dzieci od szkoły.

»W powiecie konstantynowskim włościanin ze wsi Chłopkowo, Korniluk, który utworzył pod przewodnictwem księży towarzystwo »Różaniec« również agitował przeciwko szkołom. Przed rozpoczęciem adwentu katolickiego, Korniluk zebrał członków towarzystwa i oświadczył im, iż te matki, które będą dzieci posyłały do szkoły cerkiewnej, zostaną wydalone z towarzystwa. Istotnie, wielu włościan przestało dzieci do szkoły posyłać. W dniu 21 października 1897 roku w sokołowskiej szkole elementarnej dwie dziewczynki zwróciły duchownemu książki katechizmowe i oświadczyły, iż matki nie pozwalają im uczyć się u duchownego prawosławnego. W tydzień potem zrobiła to samo trzecia dziewczynka. W szkole niedzielno-rzemieślniczej w tem samem mieście uczący się wołali na głos w klasie: »Nie chcemy słuchać popa, pójdziemy do kościoła!«. Istotnie wszyscy wyszli ze szkoły.

»W dniu 5 grudnia wszystkie dzieci prawosławne złożyły na stole nauczycielskim książki i oświadczyły, iż rodzice zabronili im uczyć się religii. Zmieniona w r. 1897 roku modlitwa przed rozpoczęciem lekcyj w zakładach naukowych wzbudziła w uczących się nieuszanowanie względem prawosławia i na modlitwę prawosławną uczniowie zaczęli patrzeć, jako na beztreściową, konieczną formalność«.

Faktów podobnych chociażby tylko z korespodencyj, w piśmie naszem zamieszczanych, możnaby przytoczyć dużo więcej. P. p. Imeretyński w »Memoryale« i Pobiedonoscew w raporcie do cara stwierdzają doniosłość i niebezpieczeństwo dla rządu rosyjskiego agitacyi tajnej, w duchu narodowym prowadzonej wśród ludu. *Czas* nazywa znowu tę agitacyę niebezpieczną i szkodliwą dla interesów społeczeństwa polskiego, Widocznie, zdaniem krakowskich mężów stanu i ich lwowskich naśladowców nieudolnych, interesy rządu rosyjskiego i społeczeństwa polskiego są identyczne.

»Pod wpływem agitacyi i grożb — czytamy dalej w raporcie — wielu nawet z oddanych prawosławiu, byłych greko-unitów zapisało się jako katolicy i przestali uczęszczać do świątyń prawosławnych«.

Według wykazów urzędowych jest w Królestwie około 100.000 b. unitów »opornych« lub »wahających się«, właściwie należałoby tę liczbę przynajmniej podwoić. Na Litwie są całe okolice, których mieszkańcy, pozornie prawosławni, sami uważają się za wyznawców religii katolickiej. Wreszcie w Rosyi właściwej, gdzie coraz bujniej krzewią się różne sekty, pomimo, że są przed rząd prześladowane, gdzie protestantyzm w ostatnich czasach zyskał spory zastęp wyznawców (sztunda), propaganda katolicyzmu mogłaby również zbierać obfite żniwo, gdyby była odpowiednio zorganizowaną.

Dla nas zaś byłoby to i z narodowego punktu widzenia pożądanem, bo katolicy rosyjscy, przez rząd prześladowani, staliby się w walce z nim naturalnymi sojusznikami Polaków. Rzecz jasna, że dzisiaj w Rosyi propaganda katolicka, podobnie jak propaganda sekciarska, musiałaby działać tajnie, jak do niedawna działała w Chinach lub Japonii.

Kiedy jednak niedawno pewien kapłan, wielce gorliwy w sprawie nawracania prawosławnych, przedłożył plan misyj tajnych dostojnikowi kościelnemu w Galicyi, ten z oburzeniem zawołał: »ależ to byłaby działalność rewolucyjna, a kościół z rewolucyą nie może mieć nic wspólnego«.

Obawa styczności z »rewolucyą«, a bardziej jeszcze obawa narażenia się Rosyi — jest wytyczną działalności nietylko duchownych ale i świeckich władz w Galicyi.

Świadczy o tem drobna, ale znamienna sprawa, o której z tego powodu warto obszerniej pomówić.

Osławiona Nadina Sławiańska, *recte* Nadzieja Kugel, urządziła we Lwowie w sali Domu Narodnego koncert swego chóru rosyjskiego, w d. 21 stycznia, w niedzielę, kiedy właśnie w wielu kółkach obchodzono przypadającą na dzień następny rocznicę powstania 1863 r. Poprzednio w Stanisławowie w porozumieniu z moskalofilami miejscowymi chór p. Sławiańskiej odśpiewał poza programem hymn rosyjski »*Boże caria chrani*!« Dowiedziawszy się o tem, grupa młodych ludzi, należących przeważnie do tutejszego »Zjednoczenia«, postanowiła zuchwalstwo agentki moskalofilskiej skarcić. Gdy chór ukazał się na estradzie, z pośród publiczności posypały się na scenę zgniłe jaja, kartofle i t. d. Nastąpiło zamieszanie, potem bójka, moskalofile bowiem rzucili się na manifestantów, między którymi było też kilku Rusinów narodowców. Młodzież zaopatrzyła się na wszelki wypadek w kastety i laski. W bójce p. Monczałowski, redaktor *Hałyczanina*, dostał kilkakrotnie... w ucho, jak delikatnie nazywają policzek bracia Moskale. Śpiew chóru rosyjskiego zagłuszono pieśnią »Jeszcze Polska nie zginęła« i »Szcze ne wmerła Ukraina«. W końcu manifestanci, których było tylko dwudziestu

kilku, bo zaledwie na godzinę przed rozpoczęciem koncertu rzecz całą postanowiono, musieli ustąpić z sali, wyszedłszy jednak na ulicę, wybili szyby w Domu Narodnym. Ma się rozumieć, na pomoc moskalofiiom zjawiła się policya, której w podobnych wypadkach brak zwykle we Lwowie, i nawet oddział wojska. Aresztowano dwudziestu kilku młodzieńców, ale po spisaniu protokułu wypuszczono za poręczeniem pp, Liberata Zajączkowskiego i M. Greka, a następnie skazano każdego na 5 złr. kary.

Większość pism zganiła manifestacyę młodzieży, uważając ją za niewłaściwą. Niektóre dzienniki, np. *Przegląd* p. Masłowskiego, zaczęły nawet biadać, że »nierozważny« postępek może wpłynąć na pogorszenie położenia »braci naszych za kordonem«.

To niedorzeczne i pozbawione godności zachowanie się prasy lwowskiej ośmieliło widocznie konsula p. Pustoszkina, któremu wydało się, że może odgrywać rolę ambasadora rosyjskiego z końca zeszłego wieku. P. Pustoszkin udał się ze skargą do namiestnika, który go wysłuchał i, jak zapewnia *Hałyczanin*, wyraził ubolewanie i przyrzekł mu dać zadosyćuczynienie. Doprawdy, w takich wypadkach wzdycha człowiek mimowoli do epoki rządów hr. Badeniego, który potrafiłby wskazać p. Pustoszkinowi właściwe jego stanowisko.

Jaka była treść rozmowy p. namiestnika z konsulem — nie wiadomo, faktem jest jednak, że wkrótce potem »Zjednoczenie« zostało rozwiązane.

Za powód do rozwiązania posłużył fakt rozesłania przez »Zjednoczenie« do redakcyi pism galicyjskich komunikatu, zawierającego uchwały zjazdu przedstawicieli młodzieży uniwersytetów rosyjskich, należącej do »ścisłych organizacyi politycznych«. Rozporządzenie, rozwiązujące towarzystwo, twierdzi, że zjazd ten odbył się w lokalu »Zjednoczenia«, zaś członkowie »Zjednoczenia« dowodzą, że zjazdu takiego nie było we Lwowie wcale.

Według naszych informacyj, a sądzimy, że są one dokładne, nie było wogóle ani we Lwowie, ani gdziekolwiek indziej żadnego zjazdu przedstawicieli młodzieży z zaboru rosyjskiego, należącej do »ścisłych organizacyi politycznych«. Autorowie komunikatu, którymi byli delegaci na zjazd w Zurychu kilku kółek studenckich polskich w uniwersytetach rosyjskich, wprowadzili w błąd »Zjednoczenie«, nadsyłając mu uchwały rzekomego zjazdu. Zresztą główna z tych uchwał, dotycząca zachowania się młodzieży polskiej podczas zeszłorocznych strejków studenckich, jest musztardą po objedzie. Treść komunikatu niewiele ma wprawdzie sensu, ale dla tego tymbardziej jest nieszkodliwą.

Zjazd jest prawdopodobnie fikcyą, a z pewnością nie odbył się we Lwowie. Słowem nie ma przedmiotu przestępstwa, ale jest wina i jest kara. Opinia publiczna przypuszcza, że ta kara, która na towarzystwo młodzieży spadła, ma na celu przejednanie obrażonego p. Pustoszkina.

Doprawdy, trudno uwierzyć w możliwość takiego zaniku poczucia godności osobistej i narodowej, takiego poniżenia powagi władzy państwowej. Pocieszajmy się więc, że *Hałyczanin*, według zwyczaju, bezczelnie kłamie i że ma racyę ten dziennik (jeżeli się nie mylę — *Gazeta narodowa*), który zapewnia, że p. Pustoszkin dostał należytą odprawę i że p. Nadina z polecenia władzy wyjechać musiała ze Lwowa.

Są jednak fakty, które pośrednio przypuszczenia opinii publicznej stwierdzają. W tych dniach n. p. odbył się wiec techników. Obecny na tem zebraniu rektor, p. Niementowski, chyba nie z własnej woli, ale wskutek polecenia z góry odegrał zwykłą rolę komisarza policyi i oświadczył, że nie dopuści uchwały, zaznaczającej, że ogół techników solidaryzuje się z kolegami, którzy brali udział w manifestacyi. A gdy młodzież nie chciała od tej chwały odstąpić, rektor wiec rozwiązał.

Nie roztrząsam tu pytania, czy rektor wyższej szkoły, który z tytułu swej godności powinien być obrońcą wolności akademickiej, postąpił właściwie, ulegając urzędowemu *Wink von Oben*. Nie wątpię jednak, że taki *Wink* być musiał, bo p. Niementowski, człowiek rozumny i powszechnie szanowany, z własnej inicyatywy nie wyraziłby chyba w ten sposób swej sympatyi dla pani Nadiny Sławiańskiej, *recte* Kugel, i swej obawy, żeby, broń Boże, p. Pustoszkin nie poczuł się obrażonym.

Sądzę, że związek pomiędzy wyżej przytoczonymi faktami będzie odpowiednio wyjaśniony, jeśli nie ze względu na naszą godność narodową, to chociażby ze względu na powagę rządu austryackiego. Propaganda moskalofilska w Galicyi staje się coraz zuchwalszą, *Hałyczanin* i ks. Stojałowski, prowadzą ją zupełnie jawnie i nie zdziwiłoby nas wcale, gdyby wrogie Polakom żywioły w prasie wiedeńskiej i w Radzie państwa wystąpiły z oskarżeniem, że koła, rządzące w Galicyi, w przewidywaniu możliwych wypadków zaskarbiają sobie zawczasu łaskawe względy rządu rosyjskiego.

A może ta pobłażliwość jest w związku z nową, opartą na sojuszu Austryi z Rosyą, kombinacyą polityczną, nad którą pracuje znakomity »minister-rodak« w myśl sentencyi łacińskiej: *quem vult perdere Jupiter dementat prius*. Ale powodzenie tego rodzaju kombinacyi nie zależy przecie ani od p. Nadiny Kugel z całym jej chórem, ani nawet od obdarzonego pięknym tenorem i odpowiednią inteligencyą p. Pustoszkina.

— Kiedy kilkanaście lat temu wypędzono z Prus 40.000 Polaków, poddanych rosyjskich i austryackich, oburzano się u nas powszechnie

na to bezprawie i uważano edykt banicyjny za klęskę narodową. Oburzamy się i dziś, a raczej oburzaliśmy się do niedawna na to barbarzyństwo pruskie i wypominaliśmy je niejednokrotnie. Ale w ciągu tych kilkunastu lat wyodrębniły się w społeczeństwie naszem i zarysowały wyraźniej interesy klasowe. I oto, gdy *Germania* puściła w świat wiadomość, zdaje się fałszywą, że rząd pruski, uwzględniając żądania rolników w prowincyach wschodnich, zamierza zezwolić na osiedlenie się na stałe w tych prowincyach robotników polskich z Królestwa i Galicyi — w prasie tych dzielnic, służącej interesom wielkich właścicieli ziemskich, nie zabrzmiał okrzyk tryumfu i radości, ale zgrzytnął przykrym tonem wyraz obawy. Pisma zachowawcze w Galicyi zaniepokoiły się, że to rozporządzenie władz pozbawić może większą własność ziemską taniego robotnika, a w każdym razie podniesie cenę najmu. W Królestwie sfery ziemiańskie obawiają się tych samych skutków i dało się już słyszeć z ich strony pobożne życzenie, żeby rząd rosyjski utrudnił robotnikom miejscowym osiedlanie się za kordonem pruskim.

Patryotyzm szlachecki uledz musiał w walce z interesem klasowym i sromotnie się cofnął pod opiekę władz rosyjskich i austryackich. Co prawda, nie pierwszy już raz to mu się zdarza.

Ale i w zaborze pruskim wiadomość, podana w *Germanii*, w niektórych przynajmniej kołach zbudziła obawę. *Gazeta grudziądzka* sądzi, że rząd pruski obok chęci dopomożenia rolnictwu, dostarczenia mu taniego i potulnego robotnika, ma jeszcze na widoku cele polityczne, które gazeta tak określa:

»Prawdopodobnie tak sobie Prusacy rozumują. Jeżeli my wpuścimy 40.000 robotników z Polski i z Galicyi niby na stałe, ale jednakże tak, że każdej chwili będziemy ich mogli wyrzucić, — boć poddaństwa pruskiego im nie damy — w takim razie osiadła robotnicza ludność polska będzie musiała iść za większym zarobkiem jeszcze w większej liczbie na zachód. Niech przyjdą wybory, to pobijemy Polaków jeszcze straszniej, niż przy ostatnich wyborach, a może uda nam się wydrzeć im ostatnie krzesła poselskie. W dodatku zaś ci, którzy pójdą na zachód, tam osiędą i się zniemczą, i taka ot będzie korzyść dla Polaków z wpuszczenia owych 40 tysięcy.

»W taki oto sposób rozumują Prusacy i musimy przyznać, że mają poniekąd słuszność. To też my więcej tego wpuszczenia 40 tysięcy Polaków się obawiamy, aniżeli spodziewamy się jakich większych korzyści dla Polaków tutaj osiadłych«.

Wiadomość, podana w *Germanii*, nie została dotychczas stwierdzoną, wszelkie więc obawy są co najmniej przedwczesne. Ale powstanie ich rzuca światło charakterystyczne na ciekawy objaw zmiany po-

glądów i dążności politycznych wskutek przekształcania się stosunków społeczno-ekonomicznych.

Na skutki tego przeobrażania się stosunków i interesów nie zwracamy należytej uwagi, posługujemy się w tej dziedzinie, podobnie jak w polityce, frazesem, pozbawionym dziś treści realnej.

Zaznaczyliśmy już dawniej, że wychodźtwo zarobkowe jest właściwie regulowaniem ruchu ludności na całym obszarze ziem polskich, ruchu, którego przebieg naturalny powstrzymują sztuczne przeszkody. Dowodziliśmy już też nieraz, że skargi na brak robotnika z powodu wychodztwa nie mają na ogół podstawy faktycznej. Zarówno w Królestwie, jak zwłaszcza w Galicyi, obszar gruntów uprawnych powiększył się w ciągu ostatnich lat 20 bardzo nieznacznie, ludność zaś wzrosła przynajmniej na 25—30%. Nie ma mowy o tem, żeby tę przewyżkę sił roboczych pochłonął przemysł nawet w Królestwie, gdzie się względnie rozwinął. Jeżeli więc 20 lat temu nie było braku robotnika, to nie może być również teraz, tymbardziej, że rozpowszechnienie maszyn zmniejszyć musiało ilość potrzebnej w rolnictwie pracy ręcznej. Próbowaliśmy nawet poprzeć rozumowanie nasze cyframi.

Do tego samego wniosku dochodzi p. Surowiecki, marszałek Rady powiatowej — nie pamiętam — tarnobrzeskiej czy mieleckiej. Wykazuje on, że w powiecie, który zna doskonale, wskutek wzrostu ludności przybyło od r. 1880 z górą 7.000 ludzi, zdolnych do pracy. Ponieważ w tym okresie czasu nie rozwinął się wcale przemysł, a wychodztwo zarobkowe do Królestwa i Prus nawet w r. z. kiedy było niezwykle licznem, zabrało niespełna 4.000 ludzi, jest więc obecnie w powiecie o 3.000 ludzi zdolnych do pracy więcej, niż było w r. 1880, czyli, że skargi na brak robotnika nie mają żadnej racyi i wyrażają właściwie utyskiwanie, że właściciele obszarów dworskich nie mogą płacić tak tanio, jakby chcieli i jakby płacili, gdyby wychodztwa wcale nie było.

To samo *mutatis mutandis* powiedzieć można o innych powiatach nietylko w Galicyi, ale i w Królestwie. Wyjątkowo chyba w miejscowościach pogranicznych lub tam, gdzie niezwykle szybki rozwój przemysłu wywołał silne zapotrzebowanie pracy, można mówić o braku robotnika. Ale ten brak bardzo łatwo usunąć za pomocą uregulowania ruchu ludności, szukającej zarobku. *J. L. Jastrzębiec.*

P. S. Od pewnego czasu na *Przegląd wszechpolski* sypią się z rożnych stron jawne napaści i kłamliwe insynuacye. Nie wdając się w polemikę, która nie miałaby celu, bo zła wola przeciwników jest aż nadto jawną, uwydatnimy tylko kłamstwo, którem się posługują. *Czas*,

a za nim *Przegląd* lwowski, *Gazeta narodowa* i *Przegląd polski* kilkakrotnie zapewniały, że powodem aresztowań grudniowych w Warszawie była korespondencya w naszem piśmie, donosząca o zapisie »pewnego bankiera (?!) — niektóre wyraźnie wymieniły ś. p. Hirszfelda — na cele narodowe i wymieniająca nazwiska osób, które później aresztowano. Widocznie uwierzył tej potwarzy nawet sumienny zazwyczaj korespondent *Nowej Reformy*, który, nie czytając naszego pisma, orzekł, że do aresztowań mogła się przyczynić »lekkomyślna, niedorzeczna i na fałszywych faktach oparta« korespondencya w *Przeglądzie wszechpolskim*.

Oświadczamy więc kategorycznie, że w numerach *Przeglądu wszechpolskiego* z r. 1899 (ma się rozumieć i z lat poprzednich) nie było *ani słowa* o jakimkolwiek zapisie na cele narodowe, ani tymbardziej o testamencie ś. p. Hirszfelda, noszącym charakter czysto prywatny. Nie wymienialiśmy również nigdy z jakiegokolwiek powodu nazwisk osób, które następnie aresztowano, zresztą o istnieniu nawet bardzo wielu z nich nie słyszeliśmy wcale.

Chcemy dać *Czasowi* i innym pismom łatwą sposobność do spełnienia uczynku miłosierdzia, złożymy więc 200 złr. na cel dobroczynny według ich uznania, jeżeli nam wskażą numer *Przeglądu wszechpolskiego* ze wzmianką o jakimkolwiek zapisie lub o nazwisku którejkolwiek z osób w grudniu aresztowanych. Ponieważ jednak mamy w tym wypadku sprawę z kłamcami, i zdolnymi do wykrętów oszustami, zaznaczamy, że w numerze grudniowym, który wyszedł we Lwowie w ten sam dzień, kiedy odbyły się aresztowania w Warszawie, jest przedrukowana z *Pochodni* wzmianka o p. Krzywickim, piętnująca go za pisywanie do dzienników rosyjskich. Gdyby nawet przypuścić jawną niedorzeczność, że ta wzmianka mogła p. Krzywickiemu zaszkodzić, to w żadnym razie zamieszczenie jej w tym numerze *Przeglądu wszechpolskiego*, który wyszedł w dzień aresztowania a do Warszawy doszedł w dwa dni później — nie mogło mieć żadnego wpływu na decyzyę władz rosyjskich w sprawie p. Krzywickiego.

Korespondenta zaś *Nowej Reformy*, którego dobrej wiary i uczciwości nie mieliśmy dotychczas powodu prdejrzywać, wzywamy, żeby nam wymienił przynajmniej numer *Przeglądu wszechpolskiego*, zawierający »lekkomyślną, niedorzeczną i na fałszywych faktach opartą« korespondencyę. Wątpimy, czy to uczyni, tymbardziej, że właśnie w paru poprzedzających aresztowania numerach *Przeglądu wszechpolskiego*, nie było wcale korespondencyj z Warszawy, w artykulikach zaś, sprawom warszawskim poświęconych, była bodaj wyłącznie mowa o tych faktach, o których wcześniej już podała wiadomość *Nowa Reforma*, lub o których szeroko rozwodziły się pisma zakordonowe.

To, cośmy powiedzieli, wystarczy, ażeby wyjaśnić sprawę uczciwym ludziom i napiętnować potwarców i ich »lekkomyślnych« sojuszników, którzy, nie zbadawszy rzeczy, powtarzają »niedorzeczne, na fałszywych faktach oparte« pogłoski.

LISTY WARSZAWSKIE.

Szkodliwość i niedorzeczność informacyi *Czasu.* Towarzystwo Dobroczynności. Polityka Imeretyńskiego. Nowa policya tajna.

Nie znam w Warszawie takiego domu, w którym czytanoby *Czas* krakowski bez goryczy, a nawet smutku. Pismo to częściej widujemy, niż inne dzienniki galicyjskie, bo cenzura z łatwo zrozumiałych powodów bardzo jest dlań łaskawa. Przywykliśmy nie dziwić się wielu rzeczom, więc i z tem moglibyśmy się zgodzić, że w każdym zaborze istnieje organ polski, przeciwstawiający się wraz z rządem narodowi; ale w tym wypadku martwi nas w *Czasie* bardzo znamienny dla Galicyi brak wiadomości o stosunkach krajowych. Nie wchodzę, powiadam, w to, ile jest w *Czasie* dobrej woli lub nieuczciwości w oświetlaniu faktów, chcę tylko zaznaczyć, jak przykre wrażenie wywiera widok jego kalectwa organicznego. Jest to przecież organ głuchy czy ślepy, nie wie bowiem nic, co się koło niego dzieje, tymbardziej co się dzieje w Warszawie. Daje to smutne świadectwo żywotności prasy galicyjskiej, boć jeśli organ, z urzędu węszący rewolucyę, nie potrafi zdobyć ani jednej wiarogodnej informacyi o stosunkach krajowych, to co się musi dziać w innych pismach?

Czas, jeśli ma ambicye dziennikarskie, na sobie samym może spostrzedz, do czego prowadzi trójzaborowe rozbicie myśli politycznej i ducha narodowego; dziś nietylko nie rozumie naszego życia w zaborze rosyjskim, ale nawet nie jest w stanie znaleźć dla siebie między ludźmi tutejszymi informatora. Pismo, nie mające nawet obowiązków względem policyi, nie powinno się opierać na złych informacyach, cóż dopiero pismo tak odpowiedzialne...

Oto z powodu grudniowych aresztowań warszawskich *Czas* spieszy powiadomić władze rosyjskie, że aresztowani należeli do związku międzynarodowej socyalnej demokracyi, a »socyaliści, zarówno jak masoni, pracują tylko *pour le roi de Prusse* i to niemal dosłownie«. Próżno debatowali tutaj ludzie w rozmaitych sferach i obozach, co ma wspólnego pogrom Towarzystwa dobroczynności z socyalizmem, masoneryą... i królem pruskim (»i to niemal dosłownie«). Informacya taka nie wprowadzi naturalnie w błąd nikogo, nawet policyi rosyjskiej, boć jest zbyt idyotyczna, ale podziwialiśmy dobre chęci *Czasu*: zrobił

co mógł, aby pogorszyć sprawę uwięzionych. Cały artykuł jest stekiem podobnych bredni. Przyczyną aresztowań według *Czasu* miało być ujawnienie przez *Przegląd* testamentu jakiegoś bankiera (!). Znamy *Przegląd wszechpolski* choć to pismo galicyjskie, lepiej niż redakcya dziennika krakowskiego i wiemy, że jako żywo nie było tam ujawnianych testamentów niczyich. Coby zresztą mógł szkodzić rządowi zapis bankiera? Oto informacya organu politycznego! Jakież to marne ze stanowiska nawet kultury dziennikarskiej!

Czas widocznie pragnie wmówić w ludzi, że wszelkie prześladowanie ze strony rządu rosyjskiego jest przez nas wywołane i zasłużone; przytem robi błazeńską minę, jakoby mu chodziło o zasłonienie naszych »spraw narodowych«. Według niego rząd rosyjski znęca się tylko nad »rewolucyjnymi żywiołami anarchizmu«. Nie będziemy kłócili się o słowa, bo te ludziom nieukształconym plączą się (przez »anarchizm« *Czas* rozumie zapewne działanie przeciwko caratowi); ale wogóle jest to brak znajomości dzisiejszych stosunków w Królestwie, jeśli się przypuszcza, że tutaj aresztują tylko za działalność polityczną, jawnie wrogą dla państwa. Trzeba mieć dużo złej woli, aby to utrzymywać, bo trudno uwierzyć w ospalstwo dziennikarza, dochodzące do tego stopnia, żeby nie ujrzał na pierwszy rzut oka, jak głęboko, w porównaniu z czasami niezbyt odległymi, zapuściły się dzisiaj »zagony« państwowości rosyjskiej w życie społeczeństwa polskiego.

Dzisiaj »aresztują« za pracę kulturalną nietylko narodową, społeczną lub polityczną.

Weźmy przykład, ot z pierwszego lepszego »kuryerka«. Kuratoryum trzeźwości ogłasza, że w miasteczku X. w ciągu paru miesięcy sprzedano w herbaciarni: papierosów tyle tysięcy, szklanek herbaty tyle, boczku wieprzowego tyle porcyi, flaków tyle itd. Po cóż to pisma drukują? spytacie — przecież to rachunek oberżysty! Co komu do tego? Nieprawda, jest to sprawozdanie urzędowe, ogłoszone przedewszystkiem w organie rządowym *Warszaw. Dniewniku*, okraszone przezeń uwagami, pełnemi »sympatycznego superlatywu« dziennikarskiego, wypływającemi z głębi serca wezbranego wyższą ideą państwową. Taką garkuchnią (urzędownie zwie się to »herbaciarnią«) zarządza zwykle komisarz do spraw włościańskich: jest to robota państwowa, a odkąd taką się stała, *nie wolno* już po miasteczkach zakładać garkuchni prywatnych. Proszę spróbować założyć taką prywatną obok herbaciarni, czy nie zaaresztują?

Po zniesieniu karczem, wskutek wprowadzenia monopolu wódczanego, wielu procederzystów pragnęło wziąć się do zakładania po miasteczkach garkuchni; poddaliby się przepisom, kontroli i gotowaliby

flaki, sprzedawali papierosy. Nie, rząd na to nie pozwolił bo wszystko, z czem styka się lud, musi być w ręku rządu.

Tam, gdzie nie dosięgła ręka kuratoryjna i w miasteczku niema herbaciarni, niewolno z zasady otworzyć garkuchni. Widziałem niedawno przed sądem gminnym gromadę ludzi, cały dzień wyczekującą na kolej na rynku podczas dużego mrozu, zgłodzoną i wyrzekającą, że na Imię Boskie niema gdzie się rozgrzać. Była sobota, więc nawet sklepy zamknięte, karczmy zniesione, a garkuchni nie wolno było otworzyć.

Śmieszna nad wyraz jest rola urzędników państwowych, sprzedających flaki i podskakujących z uciechy w *Warsz. Dniewniku*, że skarb może mieć z herbaciarni czystego zysku po paręset rubli rocznie. Zapominają głowy azyatyckie, że przecież ten rząd płaci im, poświęcającym cały czas zarządowi herbaciarń. po kilka tysięcy rubli pensyi; że przecież taka robota polityczna, połączona z warzeniem flaków, jest pośmiewiskiem w kraju kulturalnym, gdzie do jedzenia strawy gorącej nie potrzeba dawać inicyatywy państwowej.

Śmieszne to jest jako robota pozytywna, ale opłakane w działaniu ujemnem. Cała jawna robota kulturalna, aż do gotowania flaków, jest już w ręku rządu.

W herbaciarni lud może czytywać parę pism rosyjskich a z polskich (?) *Oświatę*. Spróbójcie położyć tam inne pismo, choćby cenzuralne; zobaczycie, czy was nie zaaresztują.

Idźmy wyżej. Może urządzicie przedstawienie teatralne dla ludu? Może odczyt choćby z dziedziny astronomii? Może pismo zechcecie wydawać dla ludu?

Wszystko to robi rząd; od flaków do *Oświaty* — o wszystkiem myśli rząd. Społeczeństwo niema nic do roboty; inteligencya może spać spokojnie, albo tańczyć, albo... pisać korespondencye do *Czasu* o »anarchistycznych« knowaniach przeciwko dobroczynnemu, życzliwemu rządowi.

Przedstawcież sobie teraz na tem szeroko rozlanem morzu działalności państwowej, mającej wyłączny monopol oświecania, — wysepkę w postaci Towarzystwa Dobroczynności. Instytucya ta, jak przystało na społeczeństwo żywotne, doskonale rozwinięta we wszystkich dziedzinach działalności, wskazanych ustawą, cieszyła się dotąd względną autonomią. Cicho o niej było, bo pracowała w sferach, do których nikt się nie kwapi — w sferach nędzy bezwzględnej — i tam niosła wraz z pomocą materyalną pewną dozę pokarmu umysłowego. Odkąd zapanowała na dobre polityka rządowa sięgania do podstaw kultury, takie wydziały Towarzystwa, jak wydział czytelń lub ochron, musiały na siebie zwrócić uwagę Imeretyńskiego.

Zachowanie się b. prezesa tej instytucyi, ks. Radziwiłła, człowieka politycznie niepoczytalnego, było bardzo na rękę rządowi. On to wyciągnął rękę do kuratora okręgu naukowego, aby wychowanie w ochronkach wziął pod swoją kontrolę, wprowadzając zarazem język rosyjski do wykładów. Zarząd sprzeciwił się wówczas niebezpiecznym zamiarom swego prezesa, ale rząd zakarbował sobie w pamięci tych, którzy reformie się oparli. To samo z czytelniami Towarzystwa, z których korzystała uboga ludność miasta. Radziwiłł, nie uznający książek poza religijnemi, pragnął reformy czytelń; wmieszała się władza i postanowiła wyrzucić z czytelń — wszystkie książki, dotyczące historyi Polski.

Był to przecież nie »anarchista«, lecz ks. Radziwiłł, o ile wiemy zwolennik *Czasu* i jego dorywczy współpracownik. Do niego powinien był *Czas* zwrócić swój frazes: »Instytucye publiczne nie mogą być narażone na szkodę i upadek przez niezgrabność czy nierozsądek jednostek i nikt niema prawa rozpoczynać działań, których następstwa przechodzą granice indywidualnej odpowiedzialności«...

Ale bądźmy sprawiedliwi. Pomimo uznawania całej ohydy postępowania ks Radziwiłła, nie przypisujmy jemu tego wszystkiego, co Towarzystwo Dobroczynności spotkało. Rozbicie Towarzystwa było logiczną koniecznością dzisiejszego kierunku rządowego, wynikającą z zasady monopolu państwowego w dziedzinie oświaty ludowej.

W grudniu r. z. nadeszła według Imeretyńskiego chwila decydująca. »Wschodni« człowiek nie mógł postąpić inaczej, jak z perfidyą. Nie wypada burzyć komuś fortecy podczas pokoju, więc wywołać należało stan wojenny. Należało znaleźć racyę stanu, skandal polityczny ujawnić i przez wyłom, dokonany przez prokuratoryę i żandarmów, dostać się do środka instytucyi.

Pewnego dnia dokonano nagłej rewizyi we wszystkich ochronkach, znaleziono zdradę państwa w postaci książek polskich i niezwłocznie ukazał się komunikat, ogłaszający dymisyę głównego prezesa Towarzystwa prof. Brodowskiego i prezesa wydziału ochron prof. Jurkiewicza. Efekt był tem większy, że jednocześnie z komunikatem ogłoszono nadanie orderu Jurkiewiczowi za zasługi, położone w temże Towarzystwie Dobroczynności.

W jakiś czas, w wilię wilii Bożego Narodzenia aresztowano w nocy wielu zarządzających czytelniami bezpłatnemi. Dokonano rewizyi w mieszkaniach prywatnych i w biurach, gdzie ludzie ci urzędowali, wszędzie z nadzieją znalezienia czegoś kompromitującego towarzystwo. Pogłoski o potajemnej organizacyi socyalistycznej, przez *Czas* kolportowane, są właśnie rządowi na rękę, bo czyn jego w opinii nieświadomej stanu rzeczy usprawiedliwiają. Tymczasem policya nic kompromitującego

nic znalazła i znaleść nie mogła nic takiego, coby wszystkich aresztowanych wspólnie obciążało, bo przecież dobór ludzi w czytelniach był wypadkowy. Cóż mogli mieć wspólnego z sobą, oprócz dobrej woli pracowania bezinteresownego w Towarzystwie, tacy ludzie, jak przewodniczący wydziału czytelni Stanisław Leszczyński, adwokat przysięgły, należący do starszej, zasłużonej w legalnem działaniu publicznem palestry, i ludzie młodzi, wstępujący dopiero w szranki życia publicznego? Albo ci młodzi co mają z sobą wspólnego? Taki Mahrburg, znany przecież ogólnie ze swego oderwania się od życia w sfery dociekań filozoficznych, czy to także anarchista?

Ludzie ci do dziś dnia siedzą w więzieniu, a nad wydziałami Towarzystwa Dobroczynności poformowały się przez ten czas specyalne komisye rządowe, niby macki wielkiego pająka państwowego, wszystko wysysającego.

Na miejsce usuniętego Brodowskiego trzeba było wybrać kogoś nowego. Opinia publiczna była tak steroryzowana wypadkami, że nie sposób było rozgrzać do wyborów. Machni to ręką: po co to wszystko, kiedy rząd zrobi swoje! Odczuwano ogólnie, że nie da się wybrać nikogo z inteligencyi, wysuwano więc kandydatury z pośród arystokracyi.

Żywioły, pragnące przedłużyć żywot Towarzystwa w tradycyach dawnych, popierały ks. Tadeusza Lubomirskiego niegdyś prezesa i gdyby nie wysunięta w ostatniej chwili kandydatura Tyszkiewicza, która głosy rozbiła, byłby przeszedł wbrew naciskowi stronnictwa rządowego, które wespół z Imeretyńskim popierało Macieja Redziwiłła z Zegrza. Niewielką większością głosów przeszedł ten ostatni ku wielkiemu rozgoryczeniu ogółu, nie wróżącego sobie nigdy nic dobrego z Radziwiłłów. Ten Maciej, acz nieznany dotąd w robocie publicznej, ma złą opinię, jako człowiek i jako Polak, zachowujący się bez godności wobec rządu.

Książę Imeretyński w pewnym salonie polskim, gdy była mowa o aresztowaniach powyższych, odezwał się z naciskiem, że boleje z powodu tych wypadków, ale zapewnia i prosi o rozpowszechnienie tego w społeczeństwie polskiem, że stały się bez jego woli, a nawet wiedzy: aresztowania polecone były żandarmeryi, wprost z Petersburga, poza jego plecami. Arystokracya wzięła te słowa za dobrą monetę i gorliwie je roznosi, ale tylko ugodowcy udają, że w nie wierzą.

Z różnych źródeł rozchodzi się wiadomość, że od r. 1898 istnieje w Warszawie nowa organizacya policyi tajnej, porozumiewającej się wprost z Petersburgiem. Jest w tem spora doza prawdy, ale nie w tem znaczeniu, że Imeretyński o działalności tej organizacyi nic nie wie.

Imeretyński jest bardzo podstępny i gra na fałszu i obłudzie artystycznie. Przychodząc do Warszawy z gotową polityką, powiedział sobie

i komu należy, że musi oprzeć się na jakiejś jednej warstwie społeczeństwa, musi mieć jakiś punkt oparcia dla swej dźwigni, którą ma podważyć odrębność narodową kraju, wrośniętą aż w podwaliny ludowe. Czuł swojem sercem i rozumem wschodnim, że żadna policya tajna, żaden dziennik rządowy nie odda mu w tej sprawie takich usług, jak dobrze ujęta za serce partya ugodowa, zwłaszcza w sferze arystokracyi. Siedząc z nią w salonie, niby na seansie medyumistycznym, pozwala się trzymać za ręce na dowód swej niewinności, a po za nim jakaś ręka niewidzialna, bije ich po plecach, daje szczutka w nos, ciska książkami po salonie.

Ta niewidzialna siła, w postaci nowej policyi potajemnej istnieje niewątpliwie, ale przez Imeretyńskiego zorganizowana w porozumieniu z władzami petersburskiemi. Gdyby się przyznał w salonie ugodowcom, że on sam z własnej inicyatywy chwyta ludzi spokojnych od pracy publicznej i legalnej i zamyka do więzienia, niełatwo byłoby mu grać komedyę wobec nich, że jest zmuszony nakazami z góry do kroków sprzecznych ze swymi popędami serca i zamiarami.

Raziłoby to nawet estetycznie dobrze wychowanych ugodowców, wyglądałby, jak łapacz uliczny psów. Dzisiaj rozkazy aresztowań idą z Petersburga, on nie wie o niczem. I ministeryum spraw wewnętrznych, tak zawistnie patrzące na autonomię generał gubernatorów, jest zadowolone, zbierając owoce cudzej, mozolnej polityki.

Nowa organizacya policyi tajnej, zwanej »Ochraną«, zawiązała się w r. 1898 przed odsłonięciem pomnika Mickiewicza, kiedy Imeretyński uląkłszy się czynu własnego, a nie mogąc cofnąć pozwolenia na pomnik, pierwszy raz zadrżał na myśl o rewolucyi. Pamiętamy, jak konsygnował w owym dniu jubileuszowym wojsko, jak stracił głowę i stojąc przy telefonie, wsłuchiwał się w podawane mu przez policyę szmery ludu przy pomniku, gotów każdej chwili wydać hasło strzelania; wówczas poczuł, że siedzi na dużym koniu, który jest w stanie zrzucić z siebie nawet dobrego jeźdzca. W roku Mickiewiczowskim drgnęła Polska.

Wówczas w listopadzie czy w grudniu 1898 przyjechał sprowadzony z Paryża ajent Rackowski, i ten na miejscu, (czy bez wiedzy Imeretyńskiego?) w hotelu Brühlowskim, układał plan organizacyi. Dzisiaj policya tajna (»Ochrana«) ma swoją specyalną siedzibę przy ul. Sadowej, a budżet jej wynosi około 150 tysięcy rubli, podczas gdy dawniej koszta utrzymania warszawskiej policyi tajnej nie przekraczały 20 tysięcy.

Spytajcie się dzisiaj w kołach ludzi przyzwoitych tj. oddających się jakimkolwiek robotom publicznym, który z nich nie jest »szpiclowa-

ny«. Dzień i noc poobstawiane są ulice szpiclami (Marszałkowska, Jerozolimska, Krucza, Wspólna) i przez stróżów (dzisiaj należących także do policyi) pilnują nas w mieszkaniach prywatnych. Niema teraz zebrania w instytucyi naukowej, ekonomicznej, czy klubowej bez kontroli policyi jawnej; nie ma pogrzebu, na którymby policya nie wyrywała z rąk tekstów mowy pogrzebowej i nie sprawdzała ich nad grobem.

Oto, w jakich warunkach żyć musimy. Dzieje się to nie od dziś, nie od chwili ujawnienia Ligi, której jak słyszę, *Czas* również przypisuje wszystkie klęski nasze. Podobno i wam się za Ligę dostało? Z jakiej racyi? Tajna policya *Czasu* nie tylko w Warszawie się nie oryentuje.

Dla rządu rosyjskiego ligą antypaństwową jest nasz cały naród; rząd nie spocznie, póki ta organizacya istnieć będzie, Próżno zwodzić niedźwiedzia zatajeniem oddechu. Dobre to, gdy niedźwiedź mimo idzie, ale ten trzyma nas w objęciach. Z udawania samemu się udusić? Robią to ugodowcy, bojąc się ujawnienia nawet narodowości swojej, I jaki z tego pożytek. *B . . . . . . s.*

Z PARANY.

I.

Kurytyba, 30 grudnia 1899 r.

Parę słów wstępu. Parana. Jej odrębność polityczna. Charakter kraju i postępy kultury jego. Kolonizacya i rola osadników polskich. Zaludnienie kraju. Ilość Polaków. Trzy obszary: czysto-brazylijski, mieszany i bezludny. Kurytyba. Żywioły miejscowe i napływowe w stolicy kraju. Polacy w Kurytybie.

Czytelnikom *Przeglądu wszechpolskiego* należy się bliższe wyjaśnienie naszego stanowiska wobec osadnictwa polskiego w południowej Brazylii, a należy się tembardziej, że historya naszego pisma jest poniekąd związana z losami organu, poświęconego specyalnie wychodztwu i kolonizacyi, co wywoływało nawet pewne nieporozumienia. Rzecznik tych spraw, *Przegląd emigracyjny* przemianowany został z początkiem r. 1895 na *Przegląd wszechpolski*, a od połowy tegoż roku, gdy *Przegląd* przekształcił się na organ polityczny, sprawy emigracyjne znalazły szczególne uwzględnienie w jego dodatku, *Przewodniku handlowo-geograficznym*, który potem zaczął wychodzić osobno p. t. *Gazety handlowo-geograficznej*. Pomimo tego pozornie ścisłego związku z organem emigracyjnym, łączyły nas z nim jedynie sympatye dla sprawy, w naszem przekonaniu ważnej, i dla obywatelskich usiłowań jej promotorów. Pismo emigracyjne, czy to w roli odrębnego organu, czy też dodatku do naszego *Przeglądu*, miało redakcyę własną, niezależną całkiem od redakcyi *Przeglądu wszechpolskiego*, jako organu politycznego,

jak niezależne były od niej wszelkie wydawnictwa, dotyczące wychodztwa i kolonizacyi, przy *Przeglądzie* się ukazujące. Objąwszy osobiście w połowie r. 1895 wydawnictwo i redakcyę *Przeglądu wszechpolskiego*, przekształciłem go na organ, poświęcony sprawom ogólno-polskim, i od tego czasu, zarówno pod mojem kierownictwem, jak i w latach następnych, gdy pracę redakcyjną podzieliłem z obecnym pisma kierownikiem, stosunki wychodźcze o tyle były w piśmie uwzględniane, o ile występowały w nich objawy ogólno-narodowego znaczenia. W szczególności koloniom południowo-brazylijskim mało poświęcaliśmy miejsca, ponieważ z jednej strony dotychczasowy ich rozwój uważaliśmy za słabe zaledwie początki, z drugiej zaś nie posiadaliśmy dostatecznego materyału do krytycznego tamtejszych stosunków oświetlenia. Tem większą powściągliwość nakazywał nam fakt, że warunki osadnicze południowej Brazylii i rozwój kolonii tamtejszych nie zawsze spotykają się u nas z oceną krytyczną, że przedstawia się je częstokroć w śmiesznie różowych barwach lub bezzasadnie całkiem potępia.

Ze względu właśnie na dotychczasową wstrzemięźliwość naszego pisma w stosunku do Parany, czytelnik pozwoli, że obecnie, gdy, znalazłszy się w tym kraju, mam możność podzielenia się z nim garścią własnych wrażeń i spostrzeżeń, zacznę od ogólnego rzutu oka na całą sprawę, na kraj i ludzi tutejszych.

Na południową Brazylię uwaga naszego ogółu zwróciła się wobec gorączek emigracyjnych w Królestwie Polskim w r. 1890—92 i w Galicyi w r. 1895. Prąd wychodźczy w tych latach kierował się głównie do Brazylii, właściwie zaś do trzech jej stanów południowych (Parana, Sta Catharina i Rio Grande do Sul), a nowe osady głównie się skupiły w stanie Parana, w najprzyjaźniejszych, jak się okazało, dla naszego osadnika warunkach klimatycznych. Zająwszy się bliżej tym krajem, ogół nasz dowiedział się, iż istnieją tu już znacznie dawniejsze osady polskie, założone przed ćwierćwiekiem z górą lub później przez wychodzców z Prus Zachodnich, Poznańskiego, Ślązka i Galicyi.

Wobec tych faktów powstało przedewszystkiem pytanie: czy kraj ten przedstawia pomyślne warunki dla naszego osadnika, czy wychodzca nasz zyskuje na przeniesieniu się tutaj?... Za niem nastąpiło drugie, śmielsze: czy możliwe jest tu zachowanie języka ojczystego i znamion narodowych przez naszych osadników?... Ztąd zaś naturalną koleją rzeczy wynikła rozprawa o możliwości wytworzenia się za oceanem nowego społeczeństwa polskiego.

Ci, co zabierali głos w tej sprawie i szukali odpowiedzi na powyższe pytania, wydawali często wyroki bardzo pośpiesznie, a przy rozstrzyganiu sobie wątpliwości sądzili rutynicznie, według pojęć, zdo-

bytych na gruncie europejskim. Niema u nas ludzi, umiejących myśleć, że tak powiem, kolonialnie, i nie można się temu dziwić, bo zkądżeby się wzięli w społeczeństwie, które nigdy kolonialnych interesów nie miało, którego aspiracye nietylko po oceanowych drogach nie chodziły, ale nawet na blizki, niejako ojczysty Bałtyk rozciągnąć się nie umiały. Ten wszakże brak sprawia, że do spraw podobnych nie mamy właściwej miary, co nas doprowadza do śmiesznych często konkluzyi. O wartości tutejszego gospodarstwa wydajemy wyroki z punktu widzenia, wyrobionego na naszym polskim folwarku, i mierzymy tę wartość długością kłosów żyta lub pszenicy, a kwestye kulturalne rozstrzygamy sobie według analogii, wziętych z doliny Wisły lub Dunaju. Ciekawą ilustracyą ostatniego jest broszura*), w której jeden z naszych podróżników ogłasza międzynarodowej publiczności podział południowej Brazylii na »Nowe Włochy« (Sao Paulo), »Nowe Niemcy« (Sta Catharina), wreszcie »Nową Polskę« Parana), w przekonaniu widocznie, że nowe społeczeństwa, tworzące się dzisiaj, w dobie panowania druku, rozwoju szkolnictwa i piśmiennictwa, przy szybkich środkach komunikacyjnych, przy wysokim rozwoju stosunków ekonomicznych i organizacyi politycznej, mogą pójść temi drogami, co ongi gromadki ludów, zajmujące powoli Europę i tworzące drobne całości językowo-kulturalne, dzięki brakowi wzajemnych stosunków. Nowemu krajowi, w którym grupy wielojęzycznych przybyszów nie zdołały prawie jednego pokolenia wychować, przepowiada on niemal austryacki podział narodowościowy, według sztucznych nadto granic jakie mają brazylijskie stany.

Ten rutynizm europejski, a właściwie wschodnio-europejski, wynikający specyalnie z naszych stosunków, w których kwestya narodowościowa skutkiem polityki rządów zaborczych doprowadzona została do przerostu, nietylko utrudnia nam zrozumienie kwestyi osadniczej, ale wywołuje także szkodliwe zboczenia w postępowaniu praktycznem w stosunku do tej sprawy, tak jak rutynizm rolniczy naszego chłopa przeszkadza mu w przystosowaniu się do nowych warunków klimatycznych i zmusza go często do marnowania pracy nadarmo.

Z odpowiedzią stanowczą na pytania, dotyczące losów naszego osadnictwa w Paranie, śpieszyć się nie należy, lata bowiem jeszcze muszą upłynąć na zbieraniu materyału doświadczalnego, który nam na odpowiedź taką pozwoli. Niewątpliwie już dziś, na podstawie tego, co widzimy, możemy sobie pozwolić na pewne uogólnienia, nie należy wszakże iść w nich zadaleko, bo to zamiast pomódz zrozumieniu sprawy

---

*) J. Siemiradzki: *La Nouvelle Pologne. Etat de Parana (Brésil)* Bruksella 1899.

tylko ją zaciemnia. Natomiast dobrze jest uświadomić sobie należycie warunki, w jakich nasz osadnik tu dziś żyje, poznać kraj i ludzi, którzy go zamieszkują, ocenić wartość każdego ze składników jego obecnego życia. Kwestya parańska jest kwestyą w całem tego słowa znaczeniu poważną, zasługującą na to, żeby się nią blizko zająć, tembardziej więc nie powinniśmy sobie pozwalać na lekkomyślne otrębywanie zwycięztw niedokonanych, ani na bezpodstawny pesymizm, bo gdy ostatni bezpośrednio zniechęca, skutkiem pierwszego jest rozczarowanie, które także do zniechęcenia tylko prowadzi.

Odpowiedzmy sobie przedewszystkiem na pytanie: co to jest Parana?...

Z początku część prowincyi Sao Paulo, w r. 1853 wydzielona jako osobna prowincya, Parana w r. 1889 z proklamowaniem »Rzeczypospolitej Stanów Zjednoczonych Brazylii« na równi z innemi prowincyami cesarstwa otrzymała nazwę Stanu i daleko idącą samoistność polityczną. Twórcy Rzeczypospolitej szukali wzorów w konstytucyi północno-amerykańskiej, którą skopiowali, nie pytając, czy kraj do niej dorósł. Dzięki temu każdy ze Stanów jest niejako osobnem państwem, rządzącem się samoistnie, z interwencyą rządu federalnego w sprawach ogólniejszych. Art. 6 konstytucyi, ogłoszonej w r. 1891 opiewa: »Rząd federalny nie może mieszać się w sprawy poszczególnych Stanów, wyjąwszy: 1) dla odparcia najazdu zewnętrznego lub też najazdu jednego Stanu przez drugi; 2) dla utrzymania republikańsko-federacyjnej formy rzędu; 3) w celu przywrócenia porządku i spokoju w Stanach na żądanie odpowiednich rządów (stanowych); 4) by zapewnić wykonanie praw i uchwał federalnych.«

Zarząd Stanów leży w rękach zgromadzenia prawodawczego (sejmu) stanowego, władzę zaś wykonawczą reprezentuje wybieralny gubernator. Do Unii należy: wojsko, marynarka, wyższe sądownictwo, poczty, telegrafy, cła wwozowe, pewne opłaty stemplowe, wreszcie zakładanie banków emisyjnych.

Parana tedy, jako jeden ze Stanów, posiada dużą samoistność polityczną, co prawda, dosyć sztuczną, granice bowiem Stanów są granicami dawnych prowincyi czyli okręgów czysto administracyjnych, przy których ustanawianiu kierowano się względami czysto przypadkowymi. Do Stanów, mających granice najmniej normalne, należy właśnie Parana, która, zająwszy wewnątrz rozległy płaskowyż od Paranapanemy aż do Urugwaju (rzeki), z oceanem się styka na krótkiej przestrzeni zaledwie 90 kilometrów. Dziś już handel kolonii, położonych nad Rio Negro i nad Igaassu (czysto polskich przeważnie) coraz bardziej skierowuje się na

Joinville i port Sao Francisco, leżące w stanie Sta Catharina, co jest jedną ze wskazówek, że pod względem ekonomicznym Parana i Sta Catharina stanowić będą coraz ściślejszą całość.

Pod względem fizycznym dzieli się Parana na dwie bardzo nierówne części. Pierwszą stanowi krótki i wązki pas nadmorski (około 5000 km. kwadr.), będący właściwie przedłużeniem ku północy nadmorskiego stanu Sta Catharina, z klimatem nieco gorętszym. Reszta, stanowiąca właściwe terytoryum Stanu (około 220.000 km. kw.) rozpościera się na szeregu płaskowyżów, wyniesionych do 900 metrów nad poziom morza i zniżających się tarasami w kierunku od pasma górskiego Serra do Mar ku rzece Paranie, dzielącej stan Paranę od rzeczypospolitej Paragwajskiej. Cały ten obszar, zwłaszcza w połowie bliższej oceanu, dzięki swemu wyniesieniu nad poziom morza, ma klimat bardzo przyjemny, względnie umiarkowany, z długą porą gorącą, podczas której wszakże temperatura rzadko jest wyższa, niż w nasze upały lipcowe, często zaś zdarzają się okresy dni dżdżystych i chłodnych, z zimą, podczas której bywają silne przymrozki ze szronem i nawet ze śniegiem.

Kraj ten, w zależności niezawodnie od przyrody gruntu, pokrywają bądź lasy, bądź rozległe stepy *(campos*, a jak mówią nasi osadnicy — »kępy«), pokryte trawą, pomieszaną mniej lub więcej z nieużytecznem i obniżającem ich wartość zielskiem różnych rodzajów. Do niedawna był on pozbawiony niemal wszelkiej kultury. Żyła w nim wprawdzie rzadka ludność, opierająca swój byt bądź na stepach, dających pole do najpierwotniejszej hodowli bydła bądź na lasach, przepełnionych drzewami »mate« *(herva maté)*, dostarczającemi liści i gałęzi na odwar, który w roli herbaty stał się niezbędnym napojem w południowych prowincyach Brazylii, w Urugwaju, Argentynie i Chili. Herwa była i dziś jest głównem źródłem niewielkiego, co prawda, bogactwa Parany, na niej wyrosły przeważnie fortuny tutejsze, ona też dała byt mnóstwu rozrzuconych po kraju i zajmujących się jej zbiorem kabokłów czyli brazylijczyków leśnych *(caboclos do matto)*, ludzi pod pewnymi rządami półdzikich.

Przed przyjściem osadników europejskich, a, ściśle mówiąc, polskich, w kraju tym żyli tylko wzmiankoweni kabokee, zbierający herwę, fazenderzy-hodowcy i mała garstka ich niewolników Murzynów, mniej lub więcej zamożni handlarze herwy i właściciele obszarow herwowych, wreszcie w północno wschodniej części stanu trochę ludności niby rolniczej, złożonej z Brazylijczyków i z oswojonych Indyan, uprawiających knkurydzę *(milho*, w języku dzisiejszych osadników polskich —»milija«), czarną fasolę (*feijao preto*, zwaną przez naszych osadników bądź »fiżo-

nem«, bądź po prostu szablakiem), mandiokę*) i tytoń. Po za tem istnieli tylko jeszcze po lasach dzicy Indyanie, z plemienia Botokudów i Koroadów, zwani przez Brazylijczyków »bugrami« (*bugres*). Tak się przedstawiała kultura tego kraju jeszcze przed ćwierćwiekiem, kiedy tu się zjawili pierwsi osadnicy, w części Niemcy, a przeważnie Polacy.

Zdarzyło się, że pierwszymi Polakami, którzy do Parany przyszli, byli najkulturalniejsi ze wszystkich naszych chłopów wychodzcy z Prus Zachodnich, Śląska i Ks. Poznańskiego, za nimi zaś zjawili się nienależący do najbardziej zacofanych wieśniacy z galicyjskich powiatów: krosieńskiego, gorlickiego, jasielskiego i in. Zjawienie się tych przybyszów musiało wywołać i wywołało przewrót w kulturalnych stosunkach poczynającej się zaludniać wschodniej części Parany.

Brazylijski *caboclo* był (i dziś jeszcze przeważnie został) człowiekiem bardzo skromnych wymagań. Mieszkanie jego na nazwę domu żadną miarą nie zasługiwało, nie wyrastając ponad godność szałasu; nie znał on i dziś jeszcze nie chce słyszeć o takim sprzęcie, jak łóżko, i sypia na skórach na ziemi; ubranie nosił więcej malownicze, niż obfite, a obuwie było dla niego nieznanym zbytkiem; kuchnia jego, najmniej chyba skomplikowana w świecie, składała się wyłącznie z czarnej fasoli i suszonego mięsa *xarque* (w języku naszych osadników — »siarka«), zasypanego *farinhą* (krupki z mandioki); o ile uprawiał co, ty tylko kukurydzę dla koni i mułów, a dla siebie czarną fasolę, mandiokę i tytoń; najwyższym wreszcie środkiem transportowym był dla niego muł juczny, a jeżeli gdzie drogi pozwalały mu używać wozu, to budował sobie machinę przedpotopową z kołami w postaci masywnego płaskiego kręgu, odpiłowanego od pniu drzewnego w kierunku prostopadłym do osi.**)

Osadnik polski, przyszedłszy tu i zagospodarowawszy się po paru latach ciężkiej walki z dziewiczą ziemią, zbudował sobie dom przyzwoity i ustawił w nim proste ale cywilizowane sprzęty; chodził nietylko w ubraniu, ale i w butach, które za jego przykładem i »kaboklo« zaczyna czasami naciągać; nauczył się jeść brazylijski szablak, ale czując pogardę dla »siarki«, zaczął żyć świeżem mięsem, przeważnie wieprzowem, drobiem, jajami, zapijając kawą z mlekiem, choć nie pogardzał i herwą, którą chętnie wprowadził do swego *menu*, co najważniejsza zaś — zaczął piec

---

*) Mąka (*farinha*), a raczej drobne krupy z mandioki — to stały pokarm Brazylijczyków, zarówno „kaboklów", jak i warstw inteligentnych i zastępuje im chleb który dopiero Polacy w tym kraju właściwie zaprowadzili.

**) Te wozy szczątkowe, dziś jeszcze spotykane, są przedmiotem naigrawania się ze strony naszych osadników.

chleb i robić masło, bez których obejść się niemógł, przyzwyczajając powoli do tych zbytków ludność miejscową, żyjącą w blizkiem sąsiedztwie z koloniami; zaprowadził uprawę zbóż, zwłaszcza żyta, kartofli i jarzyn, żywiąc niemi siebie i więcej wymagających Brazylijczykow; pokazał też »kaboklom«, co to jest dobry, europejski wóz parokonny z porządnym zaprzęgiem.

Inteligentni brazylijczycy często i chętnie oświadczają, że z głodu by pomarli, gdyby nie osadnicy polscy, co przekładając na mniej silny język europejski, można twierdzić, że Polacy umożliwili im podniesienie ich kuchni ponad poziom »fiżonu« i »siarki« z farynią jakkolwiek nie można powiedzieć, żeby ją całkiem ucywilizowali, bo i dziś w najzamożniejszych domach brazylijskich jest ona pełna specyałów, niedostępnych dla naszego podniebienia, i jakby wymyślona na to, żeby wzbudzić w człowieku pogardę dla życia. Stwierdzają też, że ludność brazylijska w okolicach, gdzie powstały kolonie, podniosła nietylko swą stopę życiową, ale i system gospodarki, nauczywszy się chodzić trochę koło ziemi, choć zawsze ze znacznie mniejszą od przybyszów pracowitością.

Na tem się wpływ osadników polskich nie skończył. Przywieźli oni ze sobą pewne wymagania kulturalne, które tylko z Europy lub na sposób europejski zaspokoić mogli: więcej, niż „kaboklom", potrzeba im było sprzętów, narzędzi, materyałów na odzież, wreszcie, przy dorabianiu się, nawet przedmiotów pewnego, bardzo zresztą skromnego komfortu. Na ich tedy potrzeby począł rozwijać się znaczny w porównaniu z poprzednimi czasami handel importowy i rzemiosła, z czego skorzystali wyłącznie niemal Niemcy, tworząc w kraju stosunkowo silną warstwę przemysłowo-handlową. Największe domy handlowe tutejsze byt swój głównie na osadnikach opierają.

Potem zaczęli napływać do kraju Niemcy z Niemiec i Niemcy z Rosyi, nazywający siebie Rosyanami i figurujący w wykazach urzędowych jako »*Russos*«; Włosi, którzy wprowadzili uprawę wina, zresztą w bardzo nizkim gatunku; potem Polacy z Królestwa i Polacy z Rusinami z Galicyi, jedni i drudzy mniej posunięci w kulturze gospodarczej od pierwszych przybyszów polskich, często też mniej kulturalni w życiu, i ztąd mniej budzący uznania w posuniętym już nieco naprzód żywiole miejscowym, ale zawsze chętnie witani, jako dzielni pracownicy, wydzierający dzikiej przyrodzie nowe obszary i podnoszący wartość kraju. Drobnych garstek Anglików, Francuzów, Belgijczyków i innych, których próbowano w Paranie osadzić i którzy w większości uciekli, nie można brać w rachubę. Spekulacya kolonizatorów sprowadziła tu kilkakrotnie na nowe osady nieodpowiednie do pracy rolnej i nie mogące się przystosować do związanej z nią stopy życiowej żywioły miejskie, które,

naturalnie, na miejscu wytrzymać nie mogły i smutnie kończyły lub ratowały się ucieczką. Do najsmutniejszych należą losy osadników angielskich w Assunguyu, z których zaledwie kilka zostało rodzin, a później osadzanych na ziemi w różnych miejscowościach stanu wychodzców miejskich z Królestwa Polskiego, których także znaczna część wymarnowała się lub do miast pouciekała.

Na pytanie, ile ma ludności Parana, odpowiedzieć nie można, nikt tu bowiem statystyką we właściwem tego słowa znaczeniu nie zajmuje się, a choćby nawet były poważne usiłowania w tym kierunku, to nikt nie byłby w stanie obliczyć ludności, siedzącej po lasach, nie płacącej podatków, nie troszczącej się zbyt o regestry stanu cywilnego, żyjącej właściwie nawet bez religii i nie mającej żadnych stosunków z kościołem, jak ogromna część »*caboclos do matto*«. Prawo tu nakazuje robienie co dziesięć lat spisów ludności, których rezultaty służą do oznaczenia liczby deputowanych, jaką każdy stan ma do Izby w Rio posłać (po jednemu na 70.000 mieszk.). Spis taki przygotowywany jest na rok przyszły, pierwszy zaś przeprowadzony w r. 1890 wykazał 249.491 głów. Cyfry tego rodzaju są całkiem dowolne i, ma się rozumieć, wyższe od rzeczywistych, gdyż potrzeba, żeby było jak najwięcej mandatów. Ludzie tutejsi, znający kraj, zapytywani w tej sprawie, odpowiadają zwykle, iż Parana liczy obecnie 300 tysięcy lub mniej mieszkańców. Łatwiej już nieco, choć także z wielkiem tylko przybliżeniem, oznaczyć ilość przybyszów europejskich. Większość ludzi, znających kraj dobrze, (nie Brazylijczyków, bo ci zawsze liczbę cudzoziemców zmniejszają), których zapytywałem, oznaczała liczbę przybyszów wraz z ich potomstwem na 100 tysięcy, z czego przypadnie przeszło 60 tysięcy na Polaków z Rusinami, na resztę zaś składają się Włosi i niewiele im ustępujący liczbą Niemcy, oraz drobne garstki innych narodowości, wśród których będzie pewnie do 2 tysięcy wspólnojęzycznych z Brazylijczykami, choć szczerze nienawidzących się z nimi wzajemnie Portugalczyków*). Według tych, dalekich zresztą od wszelkiej ścisłości, danych, cudzoziemcy stanowiliby $^1/_3$, Polacy zaś (wraz z Rusinami, których liczba dochodzi 15.000) — $^1/_5$ ludności Parany.

Pod względem zaludnienia można Paranę podzielić na trzy części: czysto brazylijską, mieszaną i bezludną.

Część pierwsza — brazylijska — obejmuje pas morski między oceanem i Serra do Mar; leżącą w granicach Parany część dorzecza Ribeiry, w dolnym biegu przepływającej przez terytoryum stanu Sao

*) Ostatni grupują się w miastach, głównie w Kurytybie i zajmują się handlem.

Paulo i wpadającej do Atlantyku; wreszcią dorzecza dopływów Paranapanemy — Jaguariahyva, Rio das Cinzas i Tibagy (z wyjątkiem górnej części jej biegu, w której leży okręg Ponta Grossa). W pasie morskim, gęsto względnie zaludnionym, prócz Brazylijczyków, których większość bodaj stanowią tu Murzyni i Mulaci, spotykamy drobne osady cudzoziemców, przeważnie Włochów, a obok nich garstki Francuzów, Belgijczyków, Niemców. Była tu niedaleko od Paranaguy osada polska, z której wszakże osadnicy wszyscy niemal uciekli, w górach zaś, nad rzeczką wpadającą do zatoki Guaratuba, leży nowa kolonia Castelhano (Santos Andrade), na której osadzono do 100 rodzin wychodzców z Galicyi, przeważnie Rusinów. Ci także rejterują w głąb kraju, nie mogąc znieść nieustannych deszczów i mgły górskiej, zniechających ich do pracy pomimo ogromnej urodzajności ziemi. Dorzecze Ribeiry i głównego jej w Paranie dopływu Assunguyu, stanowi pod względem fizycznym osobną całość, różniącą się bardzo od całego płaskowyżu parańskiego, którego wszystkie wody płyną do La Platy. Jest to kotlina, oddzielona od wschodu a więc od oceanu pasmem Serra do Mar, (w tem miejscu noszącem nazwy Serra da Graciosa), urywającem się dalej ku północy, co pozwala Ribeirze płynąć do Atlantyku — i od zachodu, od dorzecza Parany pasmami Serinha i Serra do Paranapiacaba, na południu zaś mająca łagodny dział wodny z Iguassu (dopływem Parany), przechodzący nieco na północ od miast Kurytyba i Campo Largo. Wyniesiona wysoko nad poziom morza, bliżej działu wodnego szybko się ona zniża, a zarazem w niewielkiej odległości od Kurytyby klimat jej znacznie już odbiega od parańskiego, stając się coraz gorętszym. Kolonizacya tego obszaru, jakkolwiek tam ją najwcześniej zaczynano (w Assunguyu) dotychczas niebardzo się powiodła, jest on więc jeszcze dość słabo zaludniony ludnością przeważnie miejscową, brazylijską, wśród której osiedliło się trochę Włochów i innych przybyszów. Dorzecze wreszcie Paranapanemy (w górnej części), z głównym jej dopływem Tibagy (w środkowej i dolnej części tylko na prawym brzegu rzeki), należy do najdawniej zaludnionych części Parany. Ludność tego obszaru, żyjąca głównie z chowu bydła, w części zaś z uprawy ziemi, dającej ku północy płody podzwrotnikowe, między innymi nawet kawę, składa się wyłącznie niemal z Brazylijczyków i oswojonych Indyan. Pod względem przyrody, składu ludności i charakteru życia jest to najbardziej brazylijska część Parany. Tylko w okolicy Castro, gdzie rozpoczęto niedawno kolonizacyę, znajduje się pewna ilość Włochów i kilkadziesiąt rodzin polskich.

Część druga, mieszana, zaludniona w większości żywiołami, napływającymi z Europy, wśród których przeważają Polacy, leży w dorzeczu Iguassu, z jej dużym dopływem Rio Negro, zajmując nadto niewielkie

obszary nad Tibagy (okręg Ponta Grossa) i Ivahy (wielka kolonia Prudentopolis) blizko ich źródeł. Z trzech narodowości, które ten obszar skolonizowały, Niemcy siedzą głównie w obwodach municypalnych Rio Negro (na granicy stanu Sta Catharina), Lapa, w okręgu Ponta Grossa (prawie wyłącznie Niemcy z Rosyi), wreszcie w mieście Kurytybie, nie licząc rozrzuconych pojedyńczo drobnych przemysłowców i kupców; Włosi w osadach, leżących między osadami polskiemi, zajmują górną część dorzecza Iguassu, w bezpośredniem sąsiedztwie lub w blizkości miast Kurytyba, Campo Largo i S. José dos Pinhaes*); Polacy wreszcie znajdują się we wszystkich stronach obszaru mieszanego skupieni w mniejsze lub większe grupy. Co do Brazylijczyków, to ich głównemi siedliskami są miasta, gdzie w ich rękach są wszystkie niemal urzędy (cokolwiek zbyt liczne w stosunku do ilości mieszkańców kraju) i znaczna część handlu; rozrzuceni są nadto po całym kraju bądź jako hodowcy bydła na stepach, bądź jako zbieracze i handlarze herwy na obszarach leśnych. Kolonizacya zajęła dotychczas zaledwie trzecią część dorzecza Iguassu w górnym tej rzeki biegu i sięga do Porto da Uniao, poniżej zaś tego punktu sama rzeka mało jest znana, ale nad jej dopływami wytworzyły się dwa ogniska czysto-brazylijskie — na prawym brzegu Guarapuada, a na lewym Palmas, gdzie dzięki istnieniu rozległych stepów (*campos*) ludność miejscowa znalazła środek do życia w chowie bydła. Na samem południu obszaru mieszanego, na granicy stanu Sta Catharina, w niezbadanych dotychczas lasach żyje najdziksze z południowo-brazylijskich plemię Botokudów. Są oni bezpośrednimi sąsiadami kolonii polskich na Lucenie.

Część trzecia, niezaludniona, a właściwie słabo bardzo zaludniona przez dzikich lub napół oswojonych Indyan (przeważnie Coroadów), a w niektórych miejscach przez leśnych Brazylijczyków, rozciąga się na lewy brzeg Tibagy, całe niemal dorzecze Ivahy, całe Piquiry i dolne Iguassu (prawy brzeg). Na tym właśnie obszarze rozciągało się w swoim czasie teokratyczne państwo Jezuitów, po którem jako jedyne ślady zostały sterczące ruiny Villa Rica nad Ivahy, Guayaza koło wodospadu Sete Quedas na Paranie i in., opuszczone jeszcze w pierwszej połowie XVII wieku. Obszar ten pozostał dotychczas niezbadanym. Znane są tylko główne jego rzeki, o kierunku zaś ich dopływów nikt nie ma pojęcia. Przecina go nadto parę ścieżek w różnych kierunkach, z których jedna od Guarapuady do ujścia Iguassu służy wojsku do komunikacyi z kolonią wojskową, przy ujściu Iguassu założoną, innych używają tylko Indyanie. Wzdłuż Ivahy wreszcie przedarli się przez lasy inżynie-

*) Długą tę w stylu brazylijskim nazwę Polacy skrócają na „Józefów".

rowie szwedzcy i angielscy, robiący przed dwudziestu z górą laty studya do kolei, która miała przeciąć ląd Ameryki południowej od Atlantyku do Oceanu Spokojnego i która nie doszła do skutku z powodu śmierci dzielnego jej inicyatora, kapitana Palma *).

Stolica stanu Kurytyba leży w pobliżu Serra do Mar, na samym niemal dziale wód, płynących z jednej strony na wschód, bezpośrednio do Atlantyku (Ribeira i jej dopływy), z drugiej zaś kierujących się na zachód ku Paranie, znajdującej ujście daleko na południu w La Placie, w najuboższej pod względem roślinności części kraju, nad siecią drobnych rzeczułek z nizkimi naogół i mokrymi brzegami. Położenie to objaśnia okoliczność, iż kraj zaludniał się od strony oceanu i dolny bieg jego rzek pozostał prawie nieznanym, a nadto rzeki te, skutkiem obfitości wodospadów, nie mają przeważnie znaczenia komunikacyjnego. Wobec tego handel kraju kieruje się prosto ku oceanowi, drogą lądową, przerzynającą się przez pasmo gór nadmorskich i Kurytyba wyrosła, jako ostatnia przed temi górami stacya centralna, w której schodzą się drogi, prowadzące z wnętrza kraju ku morzu. Trudne do przebycia pasmo górskie, przez które prowadziła niedawno jedyna droga kołowa do Antoniny a dziś jedyna kolej do portów zatoki Paranagua, sprawia, że w Kurytybie ześrodkowuje się handel wwozowy i wywozowy, o ile nie kieruje się z południa po drodze, prowadzącej z Rio Negro przez Sao Bento do Joinville i Sao Francisco (w stanie Sta Catharina). Kurytyba liczy pewnie około 25 tysięcy mieszkańców, (w każdym razie nie więcej) i, będąc centrem handlowym i administracyjnym, służy za ośrodek i pod każdym innym względem. Jakkolwiek w zewnętrznym wyglądzie miasta mieszają się wpływy brazylijskie z niemieckimi, co mu odbiera wszelki charakter, to jednak w życiu miejscowem wybitną przewagę ma żywioł brazylijski. Można powiedzieć, iż Kurytyba jest niemniej miastem portugalsko-brazylijskiem, jak Lwów np. polskiem. Żywioł portugalsko-brazylijski, jak we Lwowie polski, ma tu władzę i ton nadaje, żyje życiem publicznem i tworzy nawet swojego rodzaju ruch umysłowy — ma cztery pisma codzienne, parę peryodycznych literackich, (jest nawet organ dekadentów), ma kluby, szkoły, kółka artystyczne i ma masoneryę, towarzystwo spirytystów i inne podobne instytucye. Wszystko to jest niedojrzałe, dla nas śmieszne, jest raczej przedrzeźnianiem cywilizacyi, ale jest czemś. Język portugalski jest tu językiem urzędowym, publicznym, towarzyskim, jest wreszcie językiem ulicy.

---

*) Jeden z kierowników tych robót, inżynier Th. Bigg-Wither opisał w obszernem dziele swój dwuletni pobyt w lasach Parany (*The Pioneering in South-Brazil.* Londyn 1878. 2 tomy). Jest to niewątpliwie najlepsza książka wśród ubogiej literatury parańskiej. Daje ona wyborne pojęcie o przyrodzie i klimacie kraju.

Prowadząc dalej porównanie ze Lwowem, zauważymy, iż rola żywiołu niemieckiego tutaj ogromnie przypomina rolę żydowskiego nad Pełtwią. Stanowią tu Niemcy niewiele mniejszy odsetek, w takim samym mniej więcej stopniu opanowali handel i drogi robienia pieniędzy, tak samo ściśle związani między sobą i niesłychanie solidarni stanowią państwo w państwie, tak samo stoją zdaleka od życia publicznego, tak samo między sobą zachowują język niemiecki, przyjmując nazewnątrz mowę żywiołu panującego, którą czasami lepiej władają, niż swoją, tak samo, zacierając pozornie swą indywidualność i odrębność, zdobywają powoli grosz po groszu, piędź po piędzi ziemi i wogóle jedne po drugich placówki w życiu ekonomicznem. Gdyby nie nazwiska na szyldach, możnaby dziesięć razy przejechać przez Kurytybę i nie wiedzieć, że są tu Niemcy, ale pomieszkawszy dłużej, widzi się, że mają dużo ludzi, dużo pieniędzy i własności nieruchomej, że mają silne i zamożne stowarzyszenia. Brak im tu ludzi z szerszą inteligencyą, skutkiem czego nie stworzyli żadnego życia umysłowego, (wychodzące dwa razy na tydzień pismo niemieckie obliczone jest na nader skromne wymagania), nie przeszkadza im to jednak poważniej się w życiu od Brazylijczyków przedstawiać.

Polacy wreszcie do pewnego stopnia tak się przedstawiają, jak we Lwowie Rusini, co znaczy, że ich jest mało i nie mają znaczenia. Zaludniają okolicę, kolonie bowiem dokoła Kurytyby są przeważnie polskie, zjawiają się tu przed południem na mieście, przywożąc produkty spożywcze ze wszystkich stron, wapno, które wypalają sami na Lamenii (Lamenha), lub cegłę z polskich cegielni na »Ignacu« (S. Ignacio), wtedy słychać tu znacznie więcej mowy polskiej, niż we Lwowie ruskiej na rynku. Ci, co tu w mieście mieszkają w roli drobnych rzemieślników, sklepikarzy (wendystów), wyrobników (w liczbie nie przewyższającej 2.500 głów) nikną względnie w ogólnej masie. Jak Rusini u nas, żyją w niezgodzie, (mają aż trzy stowarzyszenia, każde ubogie i słabe), jak u Rusinów wreszcie jednostki, mające więcej grosza, trzymają się zdaleka, do polskich stowarzyszeń nie należą, w polskich obchodach udziału nie biorą i bardzo słabe stosunki z resztą utrzymują. Młode pokolenie kurytybskich Polaków chętnie mówi po portugalsku i zdarza się, że mijając gromadkę dzieci, bawiących się po wyjściu ze szkółki polskiej, nie słyszy się jednego słowa polskiego. Wprawdzie obecność znacznej ilości kolonistów polskich w okolicy sprawia, że w bardzo wielu sklepach mówią z konieczności po polsku, że wielu z Brazylijczyków i Niemców umie po parę zdań polskich skleić, za to każdy prawie Polak kurytybski jako tako mówi po portugalsku.

Obecność znacznej ilości Włochów w mieście i okolicy czuć się bardzo nie daje, pokrewieństwo bowiem ich języka z portugalskim po-

zwala im prędko dochodzić do szybkiego, choć niezbyt poprawnego władania mową panującą. Niemniej przeto są oni zamożniejsi od Polaków, i, co ważniejsza, o wiele od nich solidarniejsi.

Kurytyba tedy jest ogniskiem życia portugalsko-brazylijskiego i potrosze niemieckiego, ale dla żywiołu polskiego w kraju poważniejszego znaczenia nie ma. Chcąc zobaczyć polskość tutejszą, trzeba pojechać na kolonie, gdzie całemi milami kwadratowemi nasi osadnicy siedzą, gdzie nie słyszy się często innego języka, jak polski. W Kurytybie wszakże czuje przybysz, że jest w Brazylii i tylko w Brazylii. Polacy tu nie mają nawet swego własnego kościoła, w obecnej chwili nie mają nawet księdza Polaka. Nie stanowią zaś życia polskiego trzy ubogie, ledwie wegetujące stowarzyszenia, dwie szkółki, prowadzone przez nauczycieli, nie przygotowanych do udzielania elementarnej nawet nauki, wreszcie gazetka tygodniowa, redagowana przez cichego i prostego człowieka, który zecerstwa się przygodnie nauczył. Nie może również tego życia tworzyć kilku ludzi młodych z pewną inteligencyą, którzy się ta znaleźli zawiedzeni w nadziejach jeżeli nie co do pokładów złota i dyamentów, oznaczanych na naszych mapach i stwierdzanych w broszurach, to w każdym razie co do niezajętych stanowisk, czekających w tym kraju na inteligentnych Polaków.

W przeciwieństwie do Kurytyby, żywioł polski, rozsiedlony po kraju, pracujący na ziemi, jest w Paranie siłą poważną, jednolitą, posuwającą kulturę naprzód. Życie polskie wszakże nie wychodzi tu poza domową strzechę i kościół, a przyszłość pokaże, czy się ono wytworzy w szerszym zakresie. Zależyć to będzie od ustosunkowania rozmaitych wpływów, o których w przyszłości pomówimy.

R. Dmowski (*Skrzycki*).

KRONIKA.

Z ZABORU ROSYJSKIEGO.

== Korespondent nasz z Łodzi pisze:

»W numerze 5 *Pochodni* w korespondencyi z Łodzi była wzmianka o łódzkim szpitalu fabrycznym, znajdującym się pod zarządem osławionego „Czerwonego Krzyża“. Wiadomość ta wymaga wyjaśnienia, któremu, sądzę nie odmówicie miejsca w *Przeglądzie Wszechpolskim.*

»Szpital fabryczny, zostający pod zarządem Czerwonego Krzyża, jest założony przez miejscowych przemysłowców, utrzymywany ich kosztem i stanowi ich własność. Do Komitetu miejscowego Czerwonego Krzyża należy tylko ogólny zarząd i kontrola wydatków. Niezależnie od tego istnieje ambulatoryum bezpłatne dla chorych, stanowiące własność Czerwonego Krzyża, założone w r. 1891 z jego funduszów przy współudziale wielu lekarzy łódzkich z dr. Jonscherem, prezesem Towarzystwa lekarskiego, na czele. Wsku-

tek tego współudziału ambulatoryum cieszyło się niezwykłem powodzeniem, co zachęciło fabrykantów łódzkich, zmuszonych presyą inspekcyi fabrycznej do założenia szpitala dla robotników, do oddania go pod opiekę Czerwonego Krzyża. Ma się rozumieć, Komitet miejscowy Czerwonego Krzyża chętnie propozycyę przyjął i następnie za poradą i pośrednictwem dr. Jonschera zaprosił na naczelnego lekarza nowego szpitala ówczesnego docenta we Wrocławiu dr. Kadera. Z tego wynika, że dra Kadera nie można w żadnym razie uważać za sprawcę oddania szpitala pod opiekuńcze skrzydła rusyfikacyjno-prawosławnej instytucyi Czerwonego Krzyża.

= Wielu robotników warszawskich, uwięzionych dotychczas za udział w bezrobociu sierpniowem, skazano obecnie na kilkoletnie zesłanie do Rosyi lub na zamieszkanie w miejscu urodzenia, bez prawa wydalania się do innych miejscowości. Ta kara niby, to łagodniejsza od zesłania, w skutkach bywa nieraz dotkliwszą, bo niejeden wykwalifikowany rzemieślnik w wiosce rodzinnej, lub miasteczku żadnego zajęcia nie znajdzie.

= *Robotnik* warszawski opisuje zabawny wypadek, charakteryzujący stosunki urzędnicze, który niedawno zdarzył się w Kielcach. »Z powodu wyjazdu na wyższą posadę niejakiego Nikiforowa, dyrektora kancelaryi gubernatora, urzędnicy sprawili odjeżdżającemu obiad pożegnalny. W czasie obiadu pito i toastowano dużo, pomiędzy innymi palnął czułą mówkę panslawistyczno-ugodową i jeden z niższych urzędniczków Polaków, pan Wyszkowski. Gubernator Ozierow chwalił bardzo »mądrą« mowę podwładnego, lecz kazał mu podać się do dymisyi, gdyż »miełkij czynownik« nie ma prawa bawić się w politykę, chociażby zgodną z duchem rządowym. Na prośbę naczelnika powiatu gubernator zamienił dymisyę aresztem na 3 dni. Lecz Wyszkowski łaski nie przyjął i porzucił służbę. Ciekawiśmy, czy i nadal p. Wyszkowski będzie uprawiał politykę ugodową?«

= Pomysł Imeretyńskiego zsyłania w drodze administracyjnej do gubernii archangielskiej spekulantów, którzy by sprzedawali węgiel kamienny po cenie droższej, niż rząd naznaczył, wydał się widocznie w Petersburgu zbyt energicznym. Obecnie sfery urzędowe twierdzą, że książę »żartował«, a pomocnik jego Podgorodników również żartem słowa jego powtórzył składnikom hurtownym. Kozłem ofiarnym został prezes cenzury, któremu zmyto porządnie głowę za to, że pozwolił dziennikom warszawskim zamieścić wzmianki o tym prawdziwie rosyjskim żarcie.

= Pisma galicyjskie otrzymały z Warszawy wiadomość, że p. p. Nowodworski, Olszewski i wydawca *Kuryera warszawskiego* Lewental zostali skazani na trzyletnie zesłanie do Rosyi. Według naszych informacyj wyrok nie jest jeszcze wydany przez specyalną dla spraw, rozstrzyganych administracyjnie, konferencyę (*sowieszczanije*). Kara trzyletniego zesłania jest wnioskiem aktu oskarżenia, który to wniosek może być jeszcze zmieniony.

Z ZABORU PRUSKIEGO.

= Z powodu śmierci księżny szlezwicko-holsztyńskiej, matki cesarzowej niemieckiej, *Kuryer poznański* wpadł w lojalne rozrzewienie i taką wypalił oracyę:

»Do wyżyn tronu, gdzie źródła sprawiedliwości i miłości poddani słusznie zawsze szukają, zanosimy wyraz głębokiego chrześcijańskiego współczucia serc naszych z powodu smutku i żałoby, jaka Monarchę i dostojną Jego Małżonkę dotknęła.«

Następnie pisze: »W domu jutrzejszym« (tj. w dniu urodzin cesarza) »w całem państwie wzniosą się modły do Boga, by oddalił od Monarchy miłościwie panującego smutki nie tylko w najbliższej rodzinie, ale i w zakresie Jego rządów...« »My łączymy się z temi modlitwami z pełną ufnością do serca monarszego, bo *tylko* w niem pokładamy nadzieję wśród smutków, boleści i ciosów.«

Goniec wielkopolski ironicznie wypomina organowi arcybiskupiemu, że według nauki chrześcijańskiej »w smutkach, boleściach i ciosach należy się modlić do serca Jezusowego i tylko w Bogu pokładać nadzieję«.

= Na żądanie prokuratoryi policya pruska dokonała rewizyi w redakcyi *Gazety ostrowskiej* i aresztowała redaktora tego pisma p. Witolda Leitgebera pod zarzutem zdrady państwa. Przy rewizyi skonfiskowano podobno arkusze niewydanego dzieła p. Leitgebera p. t. »Jeszcze Polska nie zginęła«. Przyczyna aresztowania nie jest wiadomą pismom polskim. *Rhein-West Zeitung* mówi o jakimś związku tej sprawy z aresztowaniem w Dortmundzie w Westfalii zecera Mellerowicza i robotnika Kolendy, którzy jakoby zbierali składki na Skarb Narodowy i odezwy czy gazetkę potajemnie drukowali. *Taegliche Rundschau* nie wyjaśnia przyczyny aresztowania p. Leitgebera, ale zapewnia, że tym razem »zrobiono dobry połów«. Zdaje się, że ta radość okaże się przedwczesną.

= Towarzystwo katolickie robotników w Ujściu urządziło doroczną zabawę, podczas której amatorzy odegrali dwie komedyjki polskie i jedną niemiecką. »Pierwsza to zabawa symultanna, — pisze *Orędownik* — na której przedstawiono polskie i niemieckie sztuczki. Coś podobnego nie zaszło dotąd nawet na G. Śląsku ani na Warmii, pierwsze Ujście — pamiętne zresztą w historyi naszej — zdobyło się na ten wynalazek.« (Ujście jest pamiętne zdradą szlachty wielkopolskiej, która za radą Opalińskiego poddała się Szwedom i uznała królem Karola Gustawa).

= *Gazetę Kościańską* skonfiskowała prokuratorya pruska za przedrukowanie odezwy Ligi Narodowej. Redakcya tego pisma tak sprawę wyjaśnia: »Prokuratorya postarała się o to, że wszystkie egzemplarze z odezwą „Ligi Narodowej“ sądownie skonfiskowane zostały. Również wytoczone zostało redaktorowi odpowiedzialnemu *Gazety Kościańskiej* śledztwo na podstawie § 130 prawa karnego. Pierwotnie prokuratorya postępowanie karne zamierzała oprzeć na §§ 81 i 85 kodeksu karnego. Paragrafy te naznaczają karę za zdradę stanu. Złagodzono jednakże skargę i oparto ją na § 130, który traktuje o podburzaniu różnych warstw ludności przeciw sobie.«

= Poseł narodowo-liberalny Krause popisywał się w Bydgoszczy napaściami na Polaków, żądając dla nich praw wyjątkowych. Jednocześnie posłowie polscy w sejmie pruskim rozwodzili płaczliwe skargi i, jak zwykle, apelowali do sprawiedliwości niemieckiej. Z powodu mowy Krausego trafne uwagi wypowiada *Orędownik*. »Żeby nie grzeszyć idealizmem w polityce, nie padać skutkiem niego ofiarą własnego bałamuctwa i nie szkodzić własnym interesom, powtarzamy tylko krótko, że poseł dr. Krause jest jak każdy hakatysta, a jak hakatysta, tak myśli dziś i czuje prawie każdy Niemiec. Wyjątki z tej ogólnej reguły można znaleźć między Niemcami tylko w prywatnych, ale już nie w publicznych stosunkach. W stosunkach publicznych wszyscy Niemcy idą dziś razem — przeciw Polakom.

»W obec tej wrzaskliwej becy hakatystów i niehakatystów, trzeba nam przedewszystkiem manifestować publicznie, na każdym kroku, w obec władz i publiczności niemieckiej, że nasze istnienie w monarchii pruskiej oparte jest na prawie, nie na łasce Niemców.

»Ludność polska pod berłem pruskim ani nie żąda, ani nie potrzebuje łaski od Niemców. Ma prawo swoje w państwie pruskiem, ludność polska zarabia na nie i to ciężko, bo płaci podatek, bo daje państwu rekruta. Zarabiając w ten sposób na prawo nasze, nie potrzebujemy znosić takich brutalstw i takich ordynarnych napaści, jakich sobie pozwolił p. Krause w Bydgoszczy.

»To przeświadczenie, że my w państwie pruskiem nie żyjemy z łaski rządu, ani też z łaski hakatystów, powinno dziś ogarnąć — cały lud polski. Z tem przeświadczeniem powinniśmy przystępować do każdej pracy, czy w prywatnych, czy publicznych stosunkach, zawsze śmiało i zawsze pewni siebie. Wszelkie zamachy odmawiania nam prawa istnienia, zarobkowania i podtrzymywania naszej narodowości należy odpychać od siebie — nie w słowach, w gazetach — ale w życiu — jako nieuprawnione brutalstwo«.

== Parafia grudziądzka uchodzi za pół - niemiecką. Przez jakiś czas nie było tam, a może i dziś nie ma księdza, znającego dobrze język polski. Nabożeństwo polskie zepchnięto na drugi plan. Tymczasem wybory do zarządu kościelnego ujawniły inny zgoła stan rzeczy. Kandydaci polscy otrzymali po 485, *respective* 486 głosów, niemieccy, pomimo gorliwej agitacyi, 88 - 89 głosów, co dowodzi, że Niemcy stanowią co najwyżej $^1/_6$ ludności katolickiej. Podobny stosunek istnieje w wielu innych parafiach zachodnio - pruskich, w których Niemcy mają w kościele przywileje, należne chyba tylko większości.

Z GALICYI.

== Ze Lwowa wyjechała Nadina Sławiańska z chórem swoim do Sambora, gdzie jednak żadne towarzystwo, nie wyłączając *Ruskiej Besidy*, nie chciało dać jej sali. Dopiero wskutek polecenia miejscowej „figury“ urzędowej Kasyno miejskie zgodziło się dać salę.

„O godzinie 8 wieczorem — pisze *Tygodnik samborsko-drohobycki* — sala Kasyna miejskiego zaroiła się publicznością, której gros stanowiła niestety nasza polska inteligencya, co wypada z ubolewaniem zaznaczyć.

„Gdy zebrani słuchacze napawali się dźwiękami rosyjskich pieśni, rozległ się straszny łomot... szyby wraz z ramami wpadły z trzaskiem do wnętrza sali, a w ślad za niemi posypał się grad kamieni. Na sali zapanowała panika — publiczność przerażona ciśnie się w nieładzie do drzwi i kto wie, coby się było stało, gdyby nie p. Ż., który wśród popłochu krzyknął donośnie „brawo Nadina“. Słysząc to publiczność uspokoiła się i w ślad za p. Z wzniosła na cześć Nadiny gromki okrzyk „sławno!“

„Przedstawienie szybko ukończono, gdyż w sali uczuć się dawała coraz to dotkliwiej jakaś dusząca woń rozlanego płynu cuchnącego. Nie koniec na tem — gdy trupa opuszczała już progi „gościnnego Kasyna“ napadniętą została w cieniu ulic, przyczem niektórym dostać się miały nawet podobno porządne cięgi.

„Na drugi dzień Nadina opuściła nocnym pociągiem Sambor, by nie wystawić się na nową porażkę“.

== P. Kasper Wojnar, znany pisarz ludowy i gorliwy pracownik na polu oświaty, aresztowany w maju r. z. w Lublinie dopiero w ostatnich dniach stycznia r. b. został uwolniony, a raczej odstawiony do granicy galicyjskiej. Podczas pobytu w cytadeli (z górą 8 miesięcy) p. Wojnar nie był wcale badany. Wysłano go z Warszawy etapem do Będzina, ztamtąd piechotą do granicy, zkąd z żandarmami pojechał do Szczakowy. Młodzież akademicka w Krakowie urządziła t. zw. komers na cześć p. Wojnara, który skromnie i z prostotą opowiadał swoje przejścia i skreślił obraz pracy dotychczasowej nad oświatą ludu w Królestwie i niebezpieczeństw, na jakie wszyscy pracownicy na tej niwie są narażeni. Lecz więzienia i męczarnie nie nie łamią ludzi. Robotnicy trzymani są w śledztwie nieraz latami. Mowca znalazł w nich wielki patryotyzm i nieugiętego ducha. To też takie wrażenia, o ile sam wskutek nich uczuł się małym, podniosły go tak, że czuje w sobie siłę do nowej pracy. Wzywa młodzież, by za przykładem tysięcy z pośród młodzieży Królestwa, które nie ulękły się żadnych prześladownń, tu gdzie mamy wolność, szła między lud i chwyciła się pracy.

Zgromadzeni uchwalili rezolucyę, wyrażającą uznanie dla p. Wojnara i jego pracy nad uświadomieniem ludu i wzywającą młodzież, żeby szła tą samą drogą.

== W Radomyślu, miasteczku nad Sanem, urządzono uroczysty obchód rocznicy powstania styczniowego. Przytaczamy opis tego obchodu według *Kuryera lwowskiego:*

»W kościele, przybranym choinkami, ustawiono katafalk, ozdobiony kwiatami i bronią. Przed katafalkiem trzy panny w żałobie trzymały wieniec z napisem: »za naszą i waszą wolność«, a obok katafalku szeregiem ustawieni ułani polscy, strzelcy i kosynierzy, wszyscy z bronią. Uroczyste nabożeństwo żałobne odprawił, jak co roku, zawsze chętnie udział biorący w obchodzie patryotycznym, ks. proboszcz Sapecki. Kazanie wygłosił ks. wikary z Zaleszan, a od katafalku przemówił, polecając dusze naszych braci, poległych w powstaniu modłom obecnych, kilka słów rzewnych ks. Sapecki. Na chórze grała miejscowa muzyka.

»Z kościoła wszyscy: najpierw muzyka, za nią kosynierzy z chorągwią, dalej strzelcy, wreszcie ułani na koniach, a na końcu licznie zgromadzona publiczność, udali się na cmentarz, pod krzyż powstańców, który stanął przed kilku laty staraniem mieszczan radomyskich. Tu odśpiewano pieśni patryotyczne, poczem przemówił p. H. K. Napatrzywszy się na stosunki w Poznańskiem, wspomniał w kilku słowach o nich, zachęcał do oświaty, pracy na polu ekonomicznem i oszczędności, poczem wygłosił wiersz p. t.: »Sen cara«. Z cmentarza muzyka z wojskiem przedefilowała przez miasto i uczestnicy rozeszli się do domów. To dopiero połowa uroczystości.

»Popołudniu około 3 g. zebrało się znowu wojsko poza domami, ale już w daleko większej liczbie. Wszystko, co żyło, oczekiwało mającej się odbyć potyczki. Widzieliśmy ruch poza domami, co chwila przemknął się jakiś ułan, jakby śledząc, czy nie dojrzy gdzie wroga. Wreszcie około 4 dano znak z wieży kościelnej, że Moskale się zbliżają. Zdaleka widzieliśmy, jak przy blasku zdala palących się pochodni nasi strzelcy wysuwają się z za plebanii i, przykucnąwszy do ziemi, z wymierzonymi karabinami i strzelbami oczekują na wroga. Z przeciwnej strony zbliżają się Moskale. Wszyscy w szynelach i czapkach moskiewskich z dowódcą na czele idą do ataku.

»Zaczęła się bitwa przy akompaniamencie muzyki, która przez cały czas bitwy grała. Strzelanina w miarę zbliżania się obu wojsk stawała się coraz gęściejsza, aż wreszcie zwarli się nasi z Moskalami. Ledwie się to stało, aż tu z tyłu wpadają na Moskali kosynierzy, a z boku ułani, huk, strzały, błysk kos i szabel ułańskich, i po kilkunastu minutach nasi zwyciężyli wroga. Za chwilę na plac boju wjeżdża wóz sanitarny i zbiera rannych Moskali, a nasi w tryumfie z chorągwiami przeszli przez miasto. Wojskiem naszem dowodził dzielnie nauczyciel miejscowy p. M. Chmura«.

Radomyśl zasługuje na szczególną uwagę. Mieszkańcy tamtejsi, niemal wyłącznie mularze, rozchodzą się na wiosnę na roboty po całym kraju. Zwłaszcza wielu z nich pracuje w Warszawie i w większych miastach Królestwa. W wędrówkach zapoznają się z rozmaitymi stosunkami. W miasteczku mają swoje »kasyno«, a w niem kilka pism.

— Z Rapperswylu donoszą nam z prośbą o umieszczenie, że p. Hipolit Tchorzewski, poborca Skarbu Narodowego w Genewie rue du Marché 40, otrzymał z Galicyi w styczniu b. r. na rzecz tegoż Skarbu Narodowego;

1. Za 13 sprzedawanych cegiełek Skarbu a mianowicie za Nr. 259, 262, 263, 265, 267, 289, 292, 293, 296, 324, 326, 329, 343. po potrąceniu wydatków na korespondencye i przesyłki w wysokości 2 koron i 84 groszy sumę 127 k. 16 gr.
2. Nadesłane z Z. R. 4 ruble czyli . . . . 15 » 20 »

Razem . . 137 k. 36 gr.
czyli 143 franki.

Z KRESÓW.

— Górnicy w kopalniach węgla na Ślązku przyłączyli się do wielkiego strejku, który zaczął się naprzód na Morawach i Czechach. Pisma polskie, zwłaszcza demokratyczne, stanęły w tym wypadku po stronie robotników. Wyjątek stanowi tylko *Gwiazdka cieszyńska.* Towarzystwo akademików śląskich »Znicz« ogłosiło protest, który trafnie sprawę całą charakteryzuje:

»Na całej linii zawrzała walka między robotnikami w kopalniach węgla a baronami kopalnianymi. Wszyscy ludzie uczciwi stanęli po stronie wyzyskiwanych, walczących o swój byt. Państwo poczuło się do obowiązku działania w myśl słusznych żądań robotników. Społeczeństwo całe domaga się poskromienia w drodze ustawodawczej wyzysku i buty kilku kapitalistów.

»Na Ślązku zacięta ta walka socyalna jest zarazem tytanicznym bojem wyzyskiwanej pracy polskiej przeciw kapitałowi niemieckiemu. To też społeczeństwo i jego dziennikarstwo z gorącą sympatyą odnosi się do strejkujących. Wyłom czyni *Gwiazdka cieszyńska*, która w Nrze 5 z d. 3 lutego b. r. w artykule p. t.: »Bracia górnicy«... zajęła stanowisko obrońców kieszeni baronowskich, stanowisko wręcz wrogie wobec pracującego ludu polskiego.

»Moglibyśmy nad tym głosem spokojnie przejść do porządku dziennego, gdyby z tradycyi dawniejszej i wskutek istniejących stosunków *Gwiazdka* nie uchodziła za organ kilku poważnych towarzystw i instytucyj narodowych na Ślązku, na które cały naród składa swój grosz wdowi. To też stanowisko tego pisma wywołało w społeczeństwie polskiem oburzenie i rozgoryczenie i może narazić instytucye narodowe na niepowetowane szkody. Wobec tego mamy obowiązek napiętnować postepowanie *Gwiazdki cieszyńskiej* jako nie-

patryotyczne, skierowane przeciwko najżywotniejszym interesom ludu i polskości na Ślązku — a sprzeczne najzupełniej z przekonaniami ludu śląskiego, który w całej pełni solidaryzuje się z swoją bracią walczącą«.

= W Cieszynie 4. bm odbył się wiec ludowy, zwołany z powodu mowy wygłoszonej w Radzie państwa przez burmistrza Demla, który dowodził, że lud śląski zachowuje się obojętnie w sprawie gimnazyum polskiego, Na wiec przybyło około 1000 ludzi z różnych stron Śląska. Zagaił wiec robotnik Łysek z Jabłonkowa.

Obowiązkiem naszym — mówił p. Łysek — jest zaprotestować czynem i udowodnić, że nieprawdą jest, co dr. Demel twierdził w parlamencie jakoby żądanie upaństwowienia gimnazyum polskiego w Cieszynie i poszanowania praw narodowych naszych było tylko wypływem podburzań »agitatorów galicyjskich". Lud polski na Śląsku czuje się w głębi serca polskim i dziś daje tego dowód«.

Przewodniczył obradom robotnik Cienciała z Końskiej Woli. Po kilku przemówieniach zebrani uchwalili następujące rezolucye:

1. Wzywamy rząd, aby jak w najkrótszym czasie przejął gimnazyum polskie w Cieszynie na koszt państwa.

2, Protestujemy jak najwyraźniej przeciw twierdzeniu dra Demla, że lud polski na Śląsku domaga się ukształtowania tego gimnazyum pod wpływem agitatorów galicyjskich i stanowczo oświadczamy, że zakład ten uznajemy za dobrodziejstwo dla nas wieśniaków i robotników.

3. Zgromadzeni dziękują p. Kubikowi, jako wnioskodawcy i całemu klubowi chrześcijańsko-ludowemu, tudzież wszystkim pp. posłom, którzy się za wnioskiem o upaństwowienie gimnazyum polskiego oświadczyli i proszą ich, aby słuszne żądania ludu polskiego na Śląsku jak najusilniej popierali.

4. Zgromadzeni dają jak najszczersze wotum zaufania Zarządowi »Macierzy« i wszystkim pp. profesorom, dziękując im za ich poświęcenie i pracę a tem samem protestują przeciw napaściom, które przeciw tym profesorom były skierowane.

5. Zgromadzeni proszą posłów i redaktorów śląskich, oraz zarząd »Macierzy szkolnej«, aby wspólnie petycyę o upaństwowienie gimnazyum polskiego ułożyli i za pośrednictwem mężów zaufania w gminach podpisy na nią zebrali.

Z WYCHODZTWA I KOLONII

= Ludność polska w Westfalii, pozbawiona pomocy duchownej w języku ojczystym, zaczyna coraz ostrzej dopominać się o nią. Na wiec w Gelsenkirchen przybyło mnóstwo ludzi. Mówcy przemawiali stanowczo, publiczność zachowywała się poważnie i jednomyślnie uchwaliła następujące rezolucye:

»I. Zebrani katolicy w liczbie do 1000 na wiecu w Gelsenkirchen dnia 2 lutego 1900 oświadczają, iż jako wyznawcy wiary św. katolickiej, uczuwając brak opieki duchownej w ojczystym polskim języku, uczynili wszystko, co było w ich mocy, aby otrzymać opiekę duchowną w ojczystym polskim języku.

Wysyłaliśmy prośby pojedyncze i zbiorowo do ks. proboszcza, do zarządu kościelnego, do ks. biskupa i nawet wysłaliśmy prośbę opatrzoną w 4000 podpisów polskich katolików do Jego Świętobliwości Papieża Leona XIII.

»II. Z głębokim bólem serca musimy przed światem otwarcie wyznać iż wszystkie te prośby nie miały najmniejszego uwzględnienia i dla tego oświadczamy publicznie, iż za wszystkie złe następstwa które wyniknąć mogą dla Polaków z braku opieki w ojczystym polskim języku, składamy na powyżej wymienione władze, które dotychczas pozostały głuche na nasze pokorne choć bardzo słuszne prośby — odpowiedzialność przed Bogiem i przed wszystkimi uczciwymi ludźmi.

»III. Jakkolwiek potępiamy wszystkie wybryki i czyny, które stoją w sprzeczności z wiarą św. katolicką i moralnością chrześciańską, a tem bardziej potępiamy, jeżeli czynów tych dopuszczają się nasi ziomkowie, mimo to przyznać musimy, iż czasem przytrafiają się między Polakami dzikie małżeństwa bez poprzedniego przyjęcia św. sakramentów małżeństwa. Smutne te objawy są po większej części spowodowane brakiem kapłana znającego język polski«

Pomijamy ustęp, zwrócony przeciw oszczerczym twierdzeniom proboszcza miejscowego i przytaczamy zakończenie rezolucyi:

»Zważywszy, iż uszczuplanie nam nabożeństwa w ojczystym naszym języku stoi w połączeniu z wielu innemi środkami, aby nas Polaków skuteczniej można zgermanizować, oświadczamy, iż wierze naszych ojców i narodowości naszej do śmierci wiernymi pozostaniemy i dołożymy wszystkich sił, aby te skarby wiary katolickiej i mowy polskiej nieskazitelnie przekazać naszemu potomstwu«.

Oprócz tej rezolucyi uczestnicy wiecu uchwalili posłać proboszczowi ks. Maasowi następujący komunikat:

»Zebrani Polacy katolicy na wiecu w Gelsenkirchen dnia 2 lutego r. 1900 zapytują wiel. ks. prob. Maasa, czy raczy postarać się o więcej nabożeństw polskich? W przeciwnym razie oświadczamy publicznie, iż odpiszemy się od podatków dla tutejszego kościoła katolickiego parafialnego. Odpowiedź prosimy przesłać na ręce przez nas wybranego komitetu«.

Z OBCEGO SWIATA.

= W Paryżu zmarł wybitny rewolucyonista rosyjski, pułkownik Piotr Ławrow, który z górą 30 lat spędził na emigracyi. Ławrow był niegdyś głównym przewódzcą partyi socyalistycznej rosyjskiej i wybitnym pisarzem. Niektóre prace naukowe i publicystyczne (jedną z nich przetłomaczono na język polski) wydawał pod pseudonimem Mirtowa. W stosunku do Polaków Ławrow był zawsze życzliwym dążeniom naszym i bezstronnym.

SKŁADKI.

— Dla b. studentów warszawskich, wydalonych z powodu demonstracyi przeciw uczczeniu Murawiewa;

P. L. L. ze Lwowa 2 zł. »Zabrane na listopadówce« w Karlsruhe 18 marek.

Na górników Polaków, strejkujących na Ślązku:

Zebrane przez p. Gubrynowicza na zebraniu w Kole pań szkoły ludowej, urządzonem dla przyjęcia p. Kaspra Wojnara 18 zł. 60 ct.

Wydawca i odpowiedzialny redaktor Dr. Tadeusz Dwernicki. Z drukarni W. A Szyjkowskiego